Nr. 10. Lwów, dnia 10. października 1894. Rok XVII.




PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek. 5 złr.. 5 rs., 12 franków.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

# NIEDOBITKI.

Skreślił

WŁADYSŁAW SPAUSTA.

(Ryś w dziejach łowiectwa polskiego. — Zdania dawnych autorów co do jego przyrody. — Rzekome odmiany rysia. — Stan obecny tego zwierza. — Dawne wspomnienia).

Na zachodzie Europy zakończył już łowiec część heroiczną swego powołania pod brzemieniem narzuconej naturze woli ludzkiej, umilkły dzikie a tyle powabne chóry rapsodyi łowieckiej, gdy praca kulturna dotarła do kresów dawnych puszcz i kniei. Z bohatera dawnych wieków urósł tam nowożytny łowiec, zakreślający swe posłannictwo prawami ekonomii, powstał nowy rycerz, hołdownik nowego bożyszcza, zrodzonego na gruncie żelaznej konieczności. Nie chcę ujmować prawom rycerskości, do jakich każda praca kulturna rościć sobie może pretensyę — ale łowiectwo nowożytne straciło lub traci swój rys charakterystyczny, który je ongi cechował, i w braku przedmiotu zanika w ludziach coraz bardziej dziedziczna żyłka myśliwska, bo nie podniecą jej karmione z ręki świntuchy, nie zastąpi puhania głuszców bełkot importowanych indyków, nie zachwycą hekatomby z życia biednych kopyrów. Niczem nie podsycana żyłka zamrze wreszcie zupełnie, podobnie jak zanikł w naszym organizmie pokład mięśni podskórnych (*paniculus carnosus*) za pomocą których koń wstrząsający skórą odpędza owady, a jeż nadstawia kolce, zamrze na zawsze na gruncie dziedzicznych zmian organicznych, bo wreszcie i w innych krajach, daleko po za oceanem, wyczerpią się także środki do podsycania żyłki myśliwskiej, zacieśni się arena dżunglów indyjskich, tajg i tundrów północy i nieprzebytych puszcz innych kontynentów, gdzie trwa jeszcze odwieczny dramat — gdzie „gwałt się gwałtem odciska“.

Możni naszych czasów panowie posiadają rozmaitym zwierzem przepełnione rewiry. Wielkim nakładem podtrzymywane te zakłady, mają niby to odtwarzać obrazy ubiegłych wieków, mają niby to zadowalać szlachetną pasyę Nemrodów, a tymczasem stają się tylko monstrualnem wypaczeniem natury, wbrew woli człowieka, zakładem ułaskawiania zwierząt, w którym masalne zabijanie zwierza może być koniecznym i dość przykrym obowiązkiem płatnej służby,

ale nie leży w granicach przyjemności myśliwego, i nie ma krzepiących człowieka stron dodatnich dawnego pierwotnego łowiectwa.

To też nie smakują zazwyczaj w tych zabawach prawdziwi Nemrodzi; wstręt w nich budzi ta na wielką skalę wiedziona z życiem igraszka, prowadząca do zdziczenia umysłu — nie gaszą łowieckich zapałów strumienie przelanej krwi, a gdy miną ponure chwile hekatomb zwierzyńcowych, uciekają daleko od zgiełku świata, uciekają w resztki dzikich ustroni, wspinają się ponad przepaście gór, bo tam — tam — bliżej Boga, po ciężkiej walce z żywiołem, po trudach i krwawym pocie, wiecznie dziewicza bogini łowów potrząsa skromną a tyle powabną palmą nagrody.

* * *

I na naszych ziemiach kończą się już dzieje dawnego łowiectwa, grzebie postęp dawnych ruin ślady — w dziedzinach Nemroda nowe budzi się życie. Nieubłagana konieczność leje niby strumień letejskiej wody na duszę myśliwego, i wnet przygłuszy wspomnienia współczesnych. To też stosowną jest obecna chwila, abyśmy przerzucili luźne karty dziejów zwierza, który już niezadługo i w naszych posadach policzony zostanie do wymarłych gatunków.

Wspaniałe tygrysy stref naszych ze wszystkich kątów wystawy łowieckiej wyszczerzają obecnie swe drapieżne kęsy — to może ostatni charakterystyczny obraz naszej fauny łowieckiej... Pod wpływem coraz to lepszych środków wyginą wnet słabe resztki tego zwierza, mnóstwo wypchanych sukienek stoczy mól, inne staną się drogim nabytkiem muzeów, i ryś polski, „kamsztys“ Litwy, na którego patrzyły nasze oczy w dzikich jego ustroniach, przejdzie do archiwów nauki.

W epoce dyluwialnej zamieszkiwało kilka gatunków kotów ziemie środkowo-europejskie. Jak w całej faunie naszej, tak i tu stan odmian i gatunków, jaki czasy historyczne zastają, jest wynikiem zwolna postępujących zmian, rezultatem wiekowych walk organizmu ze stosunkami kosmicznemi. Z walk tych niektóre gatunki przechodziły dalej, utrzymując się na gruncie sprzyjających warunków, inne, w niedających się dokładnie określić formach przejściowych, na zawsze pogrzebane zostały w geologicznej przeszłości. Specyalnie w rodzinie kotów wytworzył się dla badacza chaos, spowodowany brakiem podstaw do ścisłego określenia minionych odmian i gatunków, jednem słowem, trudność, której i taki znawca, jak Nehring, w zupełności pokonać nie mógł.

Dziwna rozmaitość istnieje w tem drapieżnem kole ubiegłych wieków; obok istniejących podziśdzień kotów, rysiów, żbików, przebiegają kontynent środkowo-europejski zwierzęta, będące postrachem krajów podzwrotnikowych w czasach naszych. Największe gatunki tej rodziny musiały stosunkowo niedawno zaginąć w strefach naszych, jeżeli w późnych już czasach historycznych snuje się o nich mgliste podanie. Ten sam lew jaskiniowy, którego kości znaleziono na ziemiach niemieckich i w grocie ojcowskiej, kręci się, jeżeli nie w rzeczywistości (bo to trudno przypuścić), to przynajmniej w fantazyi wieków średnich. Myśliwy-bohater Siegfried odnajduje koło Wasgau: „*einen ungefügen Löwen*“. Ten lew Siegfrieda daje dużo do myślenia — byłżeby to rzeczywiście jakiś bardzo zapóźniony lew jaskiniowy (*Felis spelaea*)? Sądzę, że gdyby tak było, wiedzielibyśmy coś więcej o nim. Więc niech nam nie rodzi kłopotów ta luźna licencya poetyczna, boć i za naszych czasów już nie w poezyi, ale w najprozaiczniejszym katalogu wystawy należą „lwy“ do zwykłych okazów łowiectwa krajowego...*). Pod wpływem zmian kosmicznych i działaniem nieprzyjaznem żywiołów, musiały i drapieżne potwory z rodziny kotów położyć dawno swe kości w pokładach geologicznych, bo zwycięztwo człowieka współczesnego, tego nieudolnego troglodyty, nad tą straszną fauną stałoby się bardzo problematycznem, gdyby go nie poparła w tej walce otaczająca natura. Wzmianki o potykaniu się historycznych myśliwych z tygrysami i lwami na ziemiach środkowo-europejskich są utworem fantazyi lub chaosem, wynikłym z użycia niewłaściwych nazwisk zwierząt. Srokata sukienka rysia była dostatecznym powodem, iż go identyfikowano z innemi zwierzętami pokrewnemi, których w epoce historycznej nigdy na ziemiach europejskich nie było. Wszechwładna Roma, sprowadzając z najodleglejszych kresów imperyum lamparty, pantery, tygrysy, lwy do igrzysk, nie znała prawie rysia północy, i tylko o pojedyńczych okazach tego zwierza, sprowadzanego z wielkim trudem do Rzymu, wspominają dzieje. Z wystąpieniem nowych narodów na widownię dziejów, narodów, zaliczających rysia do swej rodzinnej fauny, pod wpływem prastarej kultury rzymskiej, przeszły na niego nazwy przez Rzymian używane, bo wieki te nie odznaczały się bynajmniej wielką skrupulatnością przyrodniczą. Jakoż ryś europejski występuje w średnich wiekach pod nazwami tygrysa, lamparta, pantery, podobnie jak napotykamy tam nazwy dziwne innych zwierząt, nazwy, z których trudno się nawet domyślić właściwego znaczenia.

W księdze aktów książąt mazowieckich znajdujemy następujący przywilej, udzielony na wieś Zatory Michałowi de Ziemiańczyc: „*Terram in longum et latum, venationibus quarumcumque ferarum*“... nadaje łaska monarsza z dodatkiem: „*centauris et tigridis exceptis*“... Nie ulega podobno wątpliwości, że tygrysami były tu rysie, a centaurami tury i żubry.

Podobnie jak wiele innych zwierząt drapieżnych, strzegły i rysia wyjątkowe prawa, jako zwierzynę należącą do łowów monarszych. Nie ma na to wprawdzie wiele dowodów, ale mówią za tem liczne wskazówki. Jak skrytem i tajemniczem jest życie tego mieszkańca odludnych leśnych ustroni, tak też i ciemną jest karta jego łowiectwa. W obec niedostatecznych sposobów wieków ubiegłych, w obec wojenjennej niemal wrzawy, z jaką wielkie łowy wyprawiano, chyba przypadkowo chytry i przezorny ryś stać się mógł zdobyczą takich łowów. Urągał on ówczesnej broni, wynosił się, skacząc po drzewach, z obrębu psiej złaji, przepadał w norach i szczelinach, i tam, nastawiwszy w górę swe pędzelki, łowił najsubtelniejsze dźwięki nieznośnej muzyki łowów.

Właśnie ta niezmierna trudność w dostaniu rysia na łowach, gdzie masa grubego zwierza wynagradzała łowieckie trudy, kazała przypisywać jakieś szczególne własności jego zmysłom, jakiś wszystko przenikający wzrok, zkąd go też u nas „ostrowidzem“ nazywano. Autorowie dawniejsi, opisując rysia, dziwy bają o tem zwierzęciu. „*Ist sunst ein raubig Thier*“, powiada Gessner w XVI. w. „*gleich dem Wolf, doch vil listiger, kein Thier ist, dass so ein scharpffe Gesicht habe, den nach der Sag der Poeten sollen sy auch mit ihren Augen durchdringen die Ding, so sunst durchscheinbar nicht sind, als Wänd, Mauren, Holz, Stein,*

*) Robi tu autor aluzyę do pierwszego wydania katalogu wystawy, gdzie przez pocieszną pomyłkę został i lew między okazami wymieniony.

*dargegen so ihnen scheinbare Dinge fürgehalten werden, so hassen sy ihr Gesicht und sterben daruan*".

Ścisłe odróżnienie rysia od innych pokrewnych z rodziny kotów stało się dopiero dziełem nowszych czasów. W dziełach dawniejszych autorów spotykamy zamieszanie, którego słabe próbki tutaj przytaczam: „*Inveniuntur* — powiada Münster (Kosmografia 1550 p. 1150) — *autem pardales in duplici genere, parvi et magni, parvi vocantur lynces... Non differunt haec duo genera in forma corporis, in colore tamen differunt*". Nasz Haur w dziele swem „Skład albo skarbiec znakomitych sekretów ekonomii ziemiańskiej", wydanym w r. 1689, wyprowadza nadzwyczaj skombinowane drzewo genealogiczne rysia. „Zwierz ten przedni i cudny jest w sobie, bo względem futra drugi po sobolu w swoim (!) szacunku... tu w naszym polskim kraju gęsto po wielu miejscach się znajduje... Pardus, od którego ryś pochodzi, w murzyńskiej ziemi znajduje się. W tych tam krajach, gdy z trudnością szukając, znajdują wodę dla napoju i posilenia swego, zbiegają się z sobą oraz lwice, z któremi ten pardus łączy się i... — tu następuje prawdziwe misterium — lęgną się z nich rysie, mając wzory po sobie podobne pardusowi; bywa z nich jeszcze trzeci rodzaj z wielbłądzicy, gdy się pomieniony z nią łączy pardus".

Jakieś fatum zawisło nad głową biednego rysia, nigdy nie mógł mieć prawych rodziców własnego typu. Niedorzeczne te podania illustrują z jednej strony stan ówczesny wiedzy, z drugiej zaś stanowią jeden dowód więcej, że ryś, ten dość pospolity zwierz w lasach naszych, nie stanowił częstej zdobyczy wielkich łowów, które ogół zajmowały, że nie był znanym bliżej pod względem przyrodniczym nawet myśliwym, gdyż inaczej wkraśćby się nie mogły podobne opisy do poważnych dzieł, jakiem w swoim czasie było dzieło Haura.

Autorowie dawni, słysząc zapewne od myśliwych opowiadania o trudnych łowach na rysia, są niewyczerpani w opowiadananiu rozmaitych sposobów. Ale jest to po prostu recytowanie zasłyszanej łaciny myśliwskiej, pocieszne głupstwa w poważną ubrane formę, z których jedno pozwolę sobie przytoczyć. Münster mianowicie opowiada z całą powagą, że gdy ludzie chcą łowić rysie i pantery „*lynces et pardales*" podpatrują, gdzie te zwierzęta chodzą się poić i stawiają tam najwyborniejsze wino „*optimum vinum*", skutkiem czego te bestye, upiwszy się, w sen zapadają i bez trudu dają się pochwycić.

W naszych czasach, powabny ten sposób trudnym by był do wykonania, gdyż owe „*optimum vinum*" trzebaby zastąpić podejrzanemi miksturami, które tylko etykieta na wino pasuje, a w końcu wystąpiłoby jeszcze z protestem Towarzystwo ochrony zwierząt, że szlachetnego rysia dręczymy i na prawdziwy „Katzenjammer" go narażamy.

Gdy się wreszcie po długich wiekach przekonano, że nie potrzeba bynajmniej murzyńskiej ziemi i czynnego współudziału pardusów, lwic i wielbłądów, aby powstać mogła ta bestyjka, którą rysiem nazywano, znalazł się nowy kłopot. Myśliwi a za nimi przyrodnicy wytworzyli cały szereg odmian tych zwierząt, opierając go na rozmaitem ubarwieniu i wielkości pojedyńczych egzemplarzy. Naturalista Rzączyński wspomina o trojakich rysiach, prawdopodobnie na podstawie podań litewskich myśliwych, którzy odróżniali również trzy odmiany. Był tam ryś-wilk (albo cielę), ryś-pies i ryś-kot (najmniejszy). Pierwszy miał być brunatno centkowany, drugi, rzekomo najrzadszy, prawie żadnych centków nie miał, trzeci posiadał najwyraźniejsze czarne centki.

Mniemanie co do istnienia trzech stałych odmian rysia utrzymywało się u nas aż do najnowszych czasów, a nawet rozstrzygnąć tego nie umiał nasz znakomity przyrodnik S. K. Pietruski, pisząc: „Czyli to są stałe lub tylko przypadkowe odmiany, na to nie jestem w stanie odpowiedzieć". Tak pisał ów badacz fauny krajowej jeszcze w r. 1852, wypowiadając swe zdanie z tą skromnością i oględnością, jaka cechuje prawdziwą naukę. Badacz, który całe swe życie strawił na bezpośredniem badaniu zwierząt, nie mógł się zdobyć na krótki wyrok, jaki inni częstokroć od zielonego stolika dyktują.

Do całego kramu najrozmaitszych zdań wielkich i mniejszych powag w tej sprawie dorzucam i ja moje trzy grosze; wszak to rysiowi nie zaszkodzi, a może raczy mi przyznać łaskawy czytelnik, że wyobrażenia me w tym kierunku polegają na gruncie niezaprzeczonych faktów, nie zaś na przędziwie logicznych kombinacyj. Wytwarzanie odmian stałych na gruncie różnicy w barwie lub wielkości bez skonstatowania głębszych zmian organicznych, nie ma podstawy; mogą tak powstawać o pewnym powierzchownym choć wybitnym charakterze rasy miejscowe, ale nie stałe odmiany. Ponieważ u wszystkich rysiów stref naszych li tylko wspomniane różnice spotykamy, może zatem być mowa co najwięcej o istnieniu pewnych lokalnych ras. Wierzę, lecz niestety nie wiem, czy „kamsztys" litewski, wyrósłszy w innych warunkach kosmicznych, przeistoczyć się mógł w jakąś nieco odrębną rasę, wiem jednak, iż pośród naszych karpackich rysiów spotykać się daje taka różność ubarwienia i wielkości, jak to udowadnia bogaty zbiór rysiów na obecnej naszej wystawie, że w szeregu tym znajdują się również egzemplarze nie różniące się w ogólności od rysiów litewskich, które oglądać można w muzeach Warszawskich. Wiem dalej, że na ślepych jeszcze płodach rysich znaczy się już przedziwna różnobarwność pojedynczych egzemplarzy, która później stanowić ma cechę odmian pomiędzy dziećmi jednego gniazda, wiem wreszcie, a to na podstawie nieomylnych wskazówek, jakie daje uzębienie, że wiek zwierza a także i jego płeć wytwarza liczne kombinacye wielkości i ubarwienia, które powiększa jeszcze wpływ pory roku i peryodycznie powtarzające się zmiany we włosach. Samica, przechodząc w miarę wieku rozmaite stopnie rudawizny, różni się od samca niedokładnem i niewyraźnem uplamieniem, samiec zaś w ogólności jest więcej siwawy, a siwizna ta występuje coraz widoczniej aż do zupełnego wykształcenia się długich włosów, jakie cechują sukienkę zimową, końce bowiem tych włosów są siwe i świecące, przez to samo wytwarzają wrażenie, jak gdyby zwierz w gruncie rzeczy rudej barwy, w srebrnym mienił się kolorze. Sukienka rysia, nie posiadająca w innych porach roku tej ozdoby, przedstawia się wcale nie szczególnie i nie usprawiedliwiałaby gustu do tego futerka, jaki się objawiał u wszystkich narodów, szczególniej zaś u nas, posiadających rysia na własnej ziemi. Nie ma w tem nic dziwnego, iż mnogość kombinacyj wspomnianych wytworzyła mniemanie o istnieniu trzech, a jak utrzymuje nasz naturalista Jarocki, nawet sześciu stałych odmian rysia. Polegając na barwie i wielkości, możnaby tu wytworzyć tysiące odmian, nie przesadzę bowiem utrzymując, że nie zdarzyło mi się dotąd widzieć dwa rysie zupełnie do siebie podobne. Otóż gdzie jest tyle różnic, tam i stałych odmian nie ma, a grymaśne ubarwienie jest właśnie cechą jednej i tej samej odmiany.

Jeżeli skóry zwierząt drapieżnych w ogólności przedstawiają wielkie różnice stosownie do pory, w której zwierzę ubite zostało, to różnice te tem wybitniej występują na skó-

rze rysia, czem się też tłumaczą bardzo szerokie granice, w których obracała się cena za nie. Po futrze sobolowem najwięcej cenionem było futro rysia — „marnotrawcy nosili zwykle na powszednie dnie kuny i rysie z jedwabnym wierzchem“ (Maciejowski, Polska T. III. 296). A jednak w cenach futer rysich były ogromne różnice. „Jeźli nie ma lasów albo wód (powiada Rej w „Wizerunku“), azaż też zła sarneczka albo wilczek, z siatkami go poszukawszy? a skóra dziś za 5 złp., mało nie jako rysia“. Inne świadectwa współczesne Rejowi mówią wszakże o „nóżkowych“ lub „szlamowych“ błamach rysich, sprzedawanych po 200 złp. Była to cena niesłychanie wysoka w porównaniu do cen ziemiańskich produktów, gdyż w owych czasach oddawano za 3 złp. tucznego barana, a za 20 złp. wołu.

Nie podlega wątpliwości, że wielka część rysich skór, jakich u nas używano, pochodziła ze zwierząt pozakrajowych. Handel z Moskwą, z Tatarami, łup wojenny dostarczały mnóstwa futer rozmaitych, zatem i rysich. Kraj sam nie mógłby zaspokoić pod tym względem wymagań, gdyż futra rysie były prawie niezbędnem, do całości należnem okryciem wojowników. Kto mógł, używał skór lamparcich, tygrysich i stroił niemi wspaniałe zaprzęgi, ale wojownikowi wystarczały skóry rysie, na plecach do góry włosem zawieszone. W wojnie i w pokoju odgrywała skóra rysia ważną rolę; pod tą sukienką biegli nasi rycerze w krwawy wieków taniec, a miękkie, niby pyłkiem srebrzystym owiane futerko okrywało w fantastyczny sposób bohaterów i strasznym był swą postacią Sarmata, strasznym wojownikiem myśliwy, niosący swe trofea na Marsowe pola. A gdy zabrzmiał znów na chwilę uroczysty dzwon pokoju, wtedy — jak to czytamy w starych dziejach — „żołnierze, powdziewawszy na siebie rysie i lamparty, piórno, świetno, ogromnie złotemi błyskali szyszakami, a sępiemi skrzydły powiewali, mając takowe do ramion przymocowane...“

Zwyczaj używania skór dzikich zwierząt przez wojowników przetrwał u nas w późne wieki i w czasach, gdy na zachodzie Europy nikt czegoś podobnego nie widział, zwracały nasze zastępy wojenne szczególną na siebie uwagę charakterystycznem dopełnieniem rynsztunku wojennego skórami zwierząt dzikich. Towarzysz husarski Krajewski z pod komendy Chodkiewicza, straszną swą, w skóry wilcze i rysie przybraną postacią zdemoralizował ongi szwedzkich generałów i zadrżało serce wojownikom skandynawskim na niezwykły widok, tak dalece, że król Karol, widząc przestrach swych oficerów, ducha odwagi wlać w nich usiłował, dowodząc, że każdy z nich równie byłby strasznym, gdyby się w dzikich zwierząt skóry przyodział.

Po słynnej odsieczy Wiednia, Stahremberg podejmował ucztą króla i grono polskich wojowników. Oryginalne wrażenia musiały wywrzeć na Niemcach stroje futrzane Polaków. Gospodarze bankietu, zapraszając polskich gości do stołu, wołali: *Domini tigrides ad primam mensam*, *Domini tapetes ad secundam mensam*, a gdy żaden się nie ruszał, król z uśmiechem wytłumaczył, że ci „tapetes“ tygrysami komenderują, bo to rotmistrze, a „tigrides“ to w rysie skóry przebrani towarzysze.

Ryś nasz, nie zaznaczywszy się za życia zbyt wybitnie w historyi łowiectwa, tem wybitniejszą jak widzimy odegrał rolę dopiero po śmierci w życiu i zwyczajach narodu. Gdyby choć setna część skór, które okrywały plecy „półtorasta tysięcy wojowników zawsze do boju gotowych“ jak się wyraża Stryjkowski, pochodziła ze zdobyczy wielkich, głośnych łowów, nie byłaby tak ciemną w tem miejscu karta naszego historycznego łowiectwa. Koniecznie zatem przypuścić musimy, że przeważna część rysiów padała ofiarą cichych zasadzek, fortelów, tłuczek, pastek, zagród i w ogóle tego całego szeregu przemyślnych a prymitywnych sposobów, któremi chłop czy drobny szlachetka najzuchwalsze i najchytrzejsze pokonywał zwierzęta. Ciężar kłody, sprężystość patyka, cewka bzu czarnego, kawał sznurka, nieco włosienia w przedziwną mechaniczną kombinacyę ujęte, były całym arsenałem, otwierającym słabemu człowiekowi coraz to szerzej wrota wśród wolnej natury. Mijały wieki, zmieniały się mody i sposoby w wykonywaniu wielkich łowów, a w cichych ustroniach klas uboższych przetrwał wszystkie koleje ów niezrównany prostaczy arsenał. Ciekawą jest ta karta naszej przeszłości, już nietylko pod względem łowieckim, i byłaby o wiele sympatyczniejszą w świetle dziejów, gdyby się nie była wyrodziła w plagę łowiectwa nowożytnego, zwracając swe sposoby przeciw hodowanym zwierzostanom.

Gdyby te wszystkie skórki rysia, jakich u nas w rozmaitych celach używano, pochodzić miały z ojczystych kniei, to nie podobnaby było sobie wyobrazić, aby w kniejach przepełnionych takim drapieżcem, jeszcze coś więcej znajdować się mogło. To też tak źle nie było — ryś, jak większość zwierząt drapieżnych, niewybredny na geologiczno-botaniczne stosunki siedliska, byle tylko dosyć żeru w niem było, znajdować się mógł w miernej ilości po wszystkich gęstych puszczach ziem naszych, podobnie jak się znajduje jeszcze podziśdzień w dziewiczych puszczach środkowej Azyi i północnej Ameryki. Granicę zamieszkania pewnej okolicy przez te zwierzęta zakreśla sama natura i zwyczaje rodu. Jest to wcale nie towarzyski drapieżnik, samiec występuje częstokroć jako największy wróg swego pokolenia, a nienasycona żądza krwi czyni go brutalnym despotą natury i terenu, na którym się osiedlił i który w swych nocnych wycieczkach przebiega, nie cierpiąc żadnego współzawodnictwa w krwawem rzemiośle.

Czem więcej żeru, tem gęściejsze może być rozsiedlenie rysia, tem mniejsze będą rejony, zajmywane przez pojedyncze rodziny. Że tak jest, udowadnia praktyka rysich łowów, gdzie do wyjątków należą wypadki zdybania kilku egzemplarzy tych zwierząt obok siebie. W razach tych, które nawiasem mówiąc miały miejsce w naszych Karpatach ostatniemi laty, myśliwy zdybuje się albo z nierozłączoną jeszcze rodziną, albo z towarzystwem z dalekich stron przybyłem w porze marcowania. W opisanym sposobie rozsiedlenia tego zwierza leży jeszcze jedna wielka trudność na drodze wytępienia tego dokuczliwego rabusia nocnego, posiadającego już i tak wszelkie warunki do salwowania swego grzesznego żywota w okolicznościach, w których ulegnąć musi inny drapieżnik. Przedziwna zaś bystrość i rozwaga w ukryciu gniazda i płodu, była nie małą przeszkodą w poznaniu przyrody tego zwierza i stała się powodem potwornych wyobrażeń o jego rozmnoży, a obecnie w górach naszych stanowi trudność zwalczenia płodu i tem samem uniemożliwia użycie jednego z najradykalniejszych środków wytępienia rysia.

Podania wielu naszych autorów co do rozsiedlenia rysia w lasach ziem naszych w dawniejszych czasach, mogłoby jakieś potworne wyrobić zdanie o dawnych zwierzostanach rysich — tymczasem, gdzie brak podań dziejowych, tam rozświeca nieco drogę bodaj analogiczne porównanie na gruncie rozpoznanej nieco przyrody zwierza. „Znajdują się tysiące rysiów w gęstych lasach Litwy i Polski“ woła autor „Myśliwstwa w Polsce i Litwie“ w r. 1865, a głos ten brzmi niby jakieś bardzo przesadne echo autora dawno mi-

nionych wieków. Niestety, dawno zabrakło nam i tych „gęstych lasów“ i tych spokojnych ustroni, w których ryś zwykł się chronić; z wrastającem zaludnieniem, a równoczesnem uszczupleniem lasów, zmieniły się granice rozsiedlenia rysia, a i w tych ciasnych szrankach ściga niedobitków cały zapas ulepszonych środków tępienia.

Pojedyncze egzemplarze pojawiają się jeszcze w Augustowskiem i we wschodniej Litwie, a w Galicyi całe pasmo Karpat posiada rysia w bardzo umiarkowanej ilości. W roku wydania wspomnianego powyżej dzieła, wypłacano w Galicyi nagrodę za 9 ubitych rysiów, a fakt ten sam przez się mówi, jako ostrożnie owe „tysiące“ brać należy. Cyfry ubitych w kraju rysiów od dłuższego lat szeregu obracają się pomiędzy 16 a 39 — z których przeważną część dostarczają wschodnie Karpaty.

Od strony gór naszych dochodzą rok rocznie echa nieznanych już na zachodzie łowów, przerzedza ród naszych tygrysów mordercza broń lub zdradliwa stepica w ostatnich kryjówkach, dokąd go zagnały zmienne losu koleje.

Gińcie więc drapieżne niedobitki! Odetchną swobodnie owieczki hal i połonin, odżyje zwierz wszelaki, gdy was nie stanie!

Raz tylko w życiu ślepy jakiś przypadek sprowadził mi rysia przed oczy. Zjawisko to głęboko utkwiło mi w pamięci, tak, iż dziś po latach bardzo wielu, widzę go jakby na jawie, i drobnym tym epizodem mogę zakończyć moją opowieść.

Było to w górach Samborskich. W kałabani nikłego jakiegoś leśnego potoku sadlisty odyniec, wyrobiwszy sobie znakomitą wannę w gorącym dniu sierpniowym, zażywał kąpieli Podrostek bojko podpatrzył sybarytę i dał mi znać o tem. Podsuwałem się tedy wieczorem po zarosłym stoku przylegającej góry pod legowisko zwierza. Podczołgnąwszy się na jakie 60 kroków, nastawiłem rurę bardzo jakiejś prymitywnej pojedynki wprost gdzie mieszka dziczka dusza i... wygarnąłem. Ale cóż! Z takiej broni rzeczywiście Bóg kule nosi — mnie zaś pozostała tylko przyjemność strzału i potężnego szturknięcia w policzek, a kula? Ta minęła się z celem i szarpnęła gdzieś w dość dalekiem sąsiedztwie duszy ciało gruboskórca. Porwał się czarny rycerz jak oparzony, gubiąc po drodze płynne życia korale, i zginął w gąszczy po drugiej stronie potoku.

Późno już było, słońce już dawno schowało się za ścianę górskiego lasu. Spoglądałem w kierunku uszłego zwierza. Towarzysz mój bojko twierdził, że daleko nie pójdzie, bo „znać distał w żywit“, więc gorączka młodości i ta nad stal silniejsza sprężyna, jaka porusza machinę łowieckiego życia, to wszystko pchało naprzód za śladem. Przebiegliśmy gąszcze i debry, przebyliśmy nieznane na mapach granice — ale cóż mnie to wszystko na razie obchodzić mogło, kto sobie rościł prawa do tych prześlicznych lasów, gór, dębów, skał i potoków? Byłem na tropie i chyba z samym szatanem podjąłbym walkę na śmierć lub życie, gdyby mi stanął w drodze. Szalona ta gonitwa nie doprowadziła jednak do niczego i musiała być na razie przerwaną. — Nie brak sił bynajmniej — brak światła kazał się zatrzymać. A szkoda, gdyż po gałązkach podrostów ciągnął się dalej przerywany sznurek farby, gubił się na niewielkiej polanie, — lecz na szczęście znalazł się tuż na krawędzi lasu z drugiej strony. Cóż począć? Wracać? To było rzeczą trudną nawet dla mego towarzysza, znającego dobrze okolicę, a zresztą szkoda było przebytej już w pogoni drogi. Postanowiliśmy zatem przenocować u brzegu lasu koło polany.

Na miękkim mchu zrobiliśmy wnet z nałamanych gałązek posłanie i przegryzłszy dzięki przezorności mego towarzysza po kawałku placka, w którym po ciemku pod zębami odróżnić było można botaniczny gatunek rośliny, z której się składał ten tak smaczny w tej chwili chleb bojków, rozłożyliśmy się obok siebie pod bardzo niedostatecznem okryciem jednej dość krótkiej guni. Towarzysz mój, swoim zwyczajem, leżąc na brzuchu, pykał ze swej zapieczonej fajeczki, a ja snułem nić nadziei, że dzik się znajdzie, gdy tylko dzień zaświta.

Cisza legła w naturze, tylko gdzieniegdzie zachwiał się wierzchołek wyniosłej jodły i jakiś spóźniony ptak spoczął na siadle, a tam wyżej, na grzbiecie góry, swawolny wietrzyk nucił w koronach świerków rzewną pieśń wieczoru. W niedalekiej debrze szemrała struga wody martwym głosem żywiołu. Zwolna, na wschodzie niby łuna dalekich pożarów szerzył się blask coraz silniejszy i wnet jak żarzący wielki balon wytoczył się ponad widnokrąg odwieczny dłużnik słońca w swej pełni. W oddalonym szałasie odzywała się żałosnem beczeniem owca, a z daleka z wąwozowego szlaku dolatywało suche skrzypienie górniackiego wozu.

— To pewno Iwan powertaje, szczo woził do mista riczy jegomościowym panyczam; to jeho wiz tak skrypyt — bełkotał półsennie mój towarzysz o czarnych kędziorach, a i ja już na pół drzemałem i wreszcie usnąłem jak kamień.

Byłem już dobrze wywczasowany, gdy mnie zbudził jakiś dziwny szelest w lesie, jakieś subtelne potrzaskiwanie suchych drobnych gałązek. Otworzyłem oczy. Księżyc był już wysoko na niebie, zmalała i zbladła jego tarcza i srebrnym, jakby z zamarłych światów odbitym blaskiem, oblewała całą posadę. Nieswojsko mi się jakoś zrobiło. Zlekka wyciągnąłem rękę po ruszników, którą z wieczora oparłem o najbliższe drzewo, ale nie mogłem jej dostać bez poruszania całem ciałem, a tego czynić nie chciałem. Wsłuchiwałem się z wytężeniem w te głosy, wywołane prawdopodobnie ruchem jakiegoś zwierza, a mój bojko, zatopiony twarzą głęboko w miękkiej pościółce spał w najlepsze. Szelest coraz to bliższy do tego stopnia mnie irytował, że już chciałem się zerwać z posłania, zbudzić bojka i pochwycić ruśnicę, gdy nagle znowu wszystko ustało. Cisza w lesie zapanowała i jakiś wielki zwierz wyskoczył z lasu co najwięcej o 25 kroków na polanę. Przebiegłszy w skokach kawał drogi, zwierz raptem przystanął, zwrócił w kierunku gdzieśmy leżeli swą latarnią, i wtedy poznałem najdokładniej rysia. Światło księżyca oświecało go wyraźnie na tle ciemnej ściany jodłowego lasu.

Pomimo, że byliśmy w cieniu, zwierz nas musiał widzieć, bo inaczej nie wpatrywałby się w tę stronę tak uparcie. Spojrzeliśmy sobie tedy oko w oko — ale widocznie zwierz się nie uląkł zbytecznie, bo po tem przedstawieniu się, cichym, poważnym krokiem posznurował dalej i rozpłynął się wreszcie dla oka wśród majaków nocy.

Jakie tam były zamiary u tego brodatego rabusia nocnego, któż to wiedzieć może? Czy nęcił go wyziew młodego ciała dwóch istot ludzkich, czy też ułożyliśmy się na zwykłym jego nocnym szlaku, czy ciągnął za świeżym śladem krwi? Tego rozstrzygnąć nie mogę. Pewniejszem wydaje mi się to pierwsze, bo spoglądał ku nam z wyrazem zdziwienia, jak gdyby scena ta odgrywała się w pierwszej nocy po stworzeniu człowieka.

Od tej chwili sen mi już oczu nie skleił; księżyc już dawno minął zenit nieba, a od wschodu pałała już zorza poranna, gasząc coraz bardziej bladą twarz księżycową — i co-

raz wyżej zaciągał się blask zorzy. Wreszcie zadrgały złotem światłem szczyty lasów po najwyższych górach, purpurą oblekł się niższy krajobraz, a tylko w głębokich debrach i przepaściach stały sine mgły na straży fioletowych, głębokich cieniów. Tam natura spoczywała jeszcze w pięknych snach nocy letniej.

Porwałem się z pościeli, wnet ruszył się i bojko, żyłka łowiecka prowadziła wprost na krwawy ślad wczorajszy, i podczas gdy mój towarzysz, przeżegnawszy się, szeptał słowa porannej modlitwy, duszą spiewałem i ja gorący hymn uwielbienia dla niewidzialnego Mistrza tych cudów...

# POLOWANIE NA KACZKI.

Miło sercu myśliwca, gdy w jesiennej porze
Pomknie łódką po stawie, albo po jeziorze,
I szybując nią zręcznie, jak śród leśnych jarów,
Zatonie w oceanie trzciny i szuwarów.
Jak na puszczy Libijskiej szarańczy gromada,
Tak zrywają się w koło dzikich kaczek stada,
I grzmi ciągle rusznica, że aż strzelec głuchnie,
Aż od tego strzelania twarz mu wreszcie spuchnie.
Bo to każdą zwierzynę w tym kraju — z pewnością,
Kaczki dzikie na stawach przewyższą mnogością.
Lecz strzelcze, nie bądź dumnym! Choć twa łódź się nurzy
Pod ciężarem zwierzyny — choć twój plon tak duży. —
Bo są lepsi myśliwi, co tu w szranki stają,
Choćbyś strzelał jak Carver — to cię przestrzelają.

Są myśliwi, co strzelby nie tknęła ich ręka,
A w obec nich twa sława strzelca — jak szkło pęka.
Z piórem w ręku dzienniki jakieś redagują
I na kaczki z zapałem dzień i noc polują.
Na tych współzawodników choć się gniewasz, żżymasz,
W słowach im konkurencyi nigdy nie wytrzymasz,
Bo te wszystkie dzienniki — taka to już pora —
Pewno są najbogatsze dziś w kaczki jeziora.

Biedną naszą krainę — czas to niedaleki —
Zalały z łożysk swoich wypędzone rzeki,
A dobytek rolnika, pracy jego plony,
Wody z szumem zaniosły na cudze zagony.
Z dawna ci, co się losem kraju opiekują,
Regulacyę rzek naszych ciągle obiecują;
Każdy patrzy w ten promyk nadziei co świeci...
Lecz zamiast regulacyi... tylko kaczka leci!

Z wiosną słoty gościńce w bagna przemieniły,
I mosty na nich także w dal jakąś spławiły.
Wędrowiec z trwogą tylko pot ociera z czoła,
Tych dróg łódką ni wozem nikt przebyć nie zdoła.
Pan Marszałek powiatu dał nareszcie słowo,
Że każe te gościńce naprawić na nowo,
Pan Inżynier rzecz zbadał własnemi oczyma,
Radość wielka!... Lecz dotąd coś gościńców niema!
Bo to na nas od dawna los jest taki srogi,
Że tutaj... tylko kaczki naprawiają drogi.

Jak rozległa ta ziemi Piastowskiej dzielnica,
Ciężka klęska dotknęła chłopa i szlachcica.
Siano woda zabrała, rdza spadła na zboże,
A z tego straszny pomor w stajni i w oborze.
Ci, co rządzą tym krajem, sami rzecz uznali,
Jakąś ulgę w podatkach zatem obiecali.
Lud za tę obietnicę hymn wdzięczności wznosi
I wciąż z sercem bijącem o tę ulgę prosi.
Egzekutor podatków zbiega okolicę!....
To... kaczka tę przyniosła w dzióbie obietnicę.

Niedawno tu przybyło inżynierów grono,
Co ma tędy budować nową kolej pono.
Radość wielka też była wśród całej przestrzeni,
Tej ziemi ciężka dola na lepsze się zmieni.
I mężowie nauki, w chwalebnym zapale,
Wciąż tyczyli — i w ziemię wciąż wbijali pale.
Minęła piękna wiosna — przeszła jesień — zima —
Przy tych palach szyn jakoś jak niema tak niema.
Znowu błogie nadzieje jak sny się rozwiały,
Bo tę kolej — jak widać — kaczki budowały.

Młodzian — gdy nie wesoły z Monte Carlo wrócił,
Za posażną panienką tęskny wzrok obrócił.
W krótce znalazł tę jedną... sercem ukochaną,
Bo jej tatko aż dwakroć obiecał na wiano.
Bez namysłu — gdy taka sposobność się zdarza —
Tramwajem elektrycznym pomknął do ołtarza.
Lecz gdy klamka zapadła — zaraz się wykryło,
Że te dwakroć posagu... tylko kaczką było.
Za późno! Choć się młodzian i miotał i żżymał,
W posagu tylko kaczkę po żonie otrzymał.

W małem mieście, co z mapy zaledwo wyziera,
Przed dniami kilkunastu wybuchła cholera.
Zaraz lekarz miejscowy stwierdził tę chorobę,
Za co dziesięć guldenów pobiera na dobę.
Popłoch straszny w miasteczku!.. same jęki, krzyki!..
Aż zjechały komisye, rady, krajsfizyki —
I na szczęście rzecz cała nam sekret wykrywa,
Jak to straszna cholera... czasem kaczką bywa.

A więc miły mój druhu!.. mój bracie w Nemrodzie:
Niech cię moja uwaga zanadto nie bodzie.
Chociaż wierzę, że robisz do kaczek dublety,
Nie dotrzymasz ty kroku tym strzelcom — niestety!
Jakże sprostasz szeregom tak licznej drużyny?
I gdzież znajdziesz tę ilość, co oni zwierzyny?
W nadto zwartym szeregu wciąż pilnie pracują,
Oni lepiej od ciebie na kaczki polują.

Podkamień, dnia 9. września 1894.

*Leopold Starzeński.*

# WYPRAWA NA KOZICE.

Obrazek z Karpat siedmiogrodzkich przez E. Cynka.

Było to w pierwszych dniach sierpnia. Słońce sypało żarem na spaloną, popękaną ziemię. Znaczna część zbóż była już z pół uprzątniętą, reszta padała pod cięciami kos i sierpów. Rozgrzane powietrze drżało jak w piecu piekarskim, a jak daleko sięgnąłeś okiem, nie widziałeś ani chmurki. Była to istna kanikuła.

Czas łowów na drobną zwierzynę jeszcze nie nadszedł, postanowiłem więc, unikając nieznośnego upału, wybrać się w góry na moją ulubioną zwierzynę, na kozice — ową szybkonogą gazelę karpacką. Nie chciałem polować z nagonką, lub z naszemi chudemi a szparkiemi gończakami, wcale nie! Podchodne — oto najszlachetniejszy rodzaj łowów na to górskie zwierzę, i dlatego też wziąwszy ze sobą tylko jednego rumuńskiego chłopa, który mi niósł prowiant i niewielki pakunek, wyruszyłem w nasze prześliczne góry.

Powoli, w pocie czoła, wychodziliśmy na stoki gór okryte młodym podrostem i krzewami, zmierzając ku lasom bukowym, przez które wprawdzie droga była równie stromą, ale cień drzew chronił przynajmniej od piekących promieni. Uroczysta cisza panowała tu wśród tych zielonych, liściastych naw, a słońce zakradało się tylko miejscami, rzucając jakby złotą tkaninę na mech i podszycie leśne. Nigdzie ani ptaszyny — wszędzie cicho i parno, że aż jakiś lęk zbierał.

Wkrótce dotarliśmy do połoniny, która oddzielała las bukowy od borów szpilkowych. Chcąc choć na chwilę odsapnąć, usiedliśmy pod cieniem buka. Wspaniały obraz roztaczał się tu przed naszemi oczyma. Głęboko w dole, pomiędzy żółto-płowemi ścierniskami, zielonemi łąkami i ogrodami, bielały domy siół, dalej zaś widniało miasteczko Fogaras ze swym, jeszcze z czasu wojen tureckich znanym kasztelem, a jako szeroki, srebrny meander, błyszczała w licznych zakrętach Aluta, płynąc u stóp nagich gór. Tło całego obrazu stanowił szaro-niebieski łańcuch gór, wśród niego szczyt Girbowy — a ponad tem wszystkiem wznosił się jasny, bezobłoczny błękit nieba i drżało w promieniach światła rozpalone powietrze.

Po krótkim odpoczynku zapuściliśmy się w bór. Dość długo jeszcze szliśmy pod górę głęboko wyżłobionemi drożynami leśnemi wśród cienia i żywicznych zapachów, lecz niebawem wstąpiliśmy na wąską kamienistą perć, która nas wiodła grzbietem góry i potem znów w dół się spuszczała.

Minęło południe, zbliżał się wieczór. Jedna część góry pogrążyła się już w głębokich cieniach, gdyśmy, idąc wzdłuż dziko szumiącego potoku górskiego, przeskakując po kamieniach, przełażąc przez łomy drzewne lub balansując po pniach, tworzących naturalne mosty nad potokiem, dotarli wreszcie do schroniska zbudowanego przez Towarzystwo karpackie. Tuż na granicy lasów, w cieniu olbrzymich świerków, wznosi się tu chata, zbudowana silnie z grubych okrągłych berwion. Zanadto schowane i nie mające rozległego widoku na góry, było mi to schronisko zawsze bardzo na rękę i chętnie w niem przebywałem, dzierżawiąc przez dłuższy czas polowanie w t. z. „Vistea mare“.

Wprawdzie były także nieopodal szałasy pasterskie, w części jeszcze zajęte, w części już opuszczone, lecz zaducha, dym nieustanny i zbyt familijne insekta czyniły pobyt w nich zanadto okropnym, ażeby nie umieć cenić jak należy schroniska Towarzystwa karpackiego. I teraz przeto rozgościliśmy się z przyjemnością w owym małym blokhauzie, gdzie się mieścił stół i tapczany, a w przedsionku palowisko do rozniecania ognia. Poczyniliśmy przygotowania do noclegu; ja, stanąwszy przed chatą przy ogniu, zająłem się przyrządzeniem wieczerzy, a Rumun znosił tymczasem drobne gałązki świerkowe, aby z nich ułożyć wonną pościel na tapczanie. Wkrótce było też upieczone mięso na improwizowanym rożnie i nim gwiazda wieczorna zeszła nad szczytami świerków, głód i pragnienie były już zaspokojone.

Kurząc fajki i gawędząc, siedzieliśmy jeszcze jakiś czas koło ogniska, z którego wiatr dymy w różne strony rozwiewał. Mały obłok wypłynął ponad Koltyn, najwyższy szczyt „Vistea mare“ — inne szczyty otulał coraz ciemniejszy zmrok, z jarów zaś wynosiła się mgła i gęstniała coraz bardziej.

— Będziemy mieli burzę tej nocy — rzekł Rumun rozglądając się po niebie.

— O, pewnie, Juonie. Upał w ciągu dnia był zanadto wielki. Lecz burza nie powinna trwać długo, a tymczasem chodźmy spać.

Rzekłszy to, wytrzepałem fajeczkę z resztek żaru i wszedłem do chaty, Juon zaś zniósł do przedsionka na palowisko płonące głownie, dołożył gałęzi, i położył się koło ognia.

Była może 10ta godzina w nocy, gdy mnie burza zbudziła. Z głośnym łomotem uderzał deszcz o gontowy dach blokhauzu, a wicher wstrząsał drzwiami i oknami, wciskając się przez najwęższe szczeliny. Juon zbudził się także i dorzucił kilka łomaków na ognisko, wkrótce jednak musiał żar zagasić, gdyż wiatr wtłaczał dym do środka i zapełnił nim całą chatę. Aż do północy szalały rozhukane żywioły, poczem deszcz ustał i tylko pojedyncze zacinania wichru przypominały jeszcze oddalającą się burzę.

Nie mogłem już zasnąć jak należy, w drzemce raczej niż we śnie przewracałem się z boku na bok aż do chwili, w której zaczęło świtać. Ranek był bardzo chłodny, wielce pożądaną okazała się herbata, zaprawiona dość obficie rumem. Kawałek słoniny przypieczonej na patyku i dwa jaja na twardo z kawałkiem razowego chleba — oto było moje śniadanie, poczem zapaliwszy fajeczkę, puściłem się przy szarzejącej zorzy porannej dobrze mi znanemi, przez owce wydeptanemi perciami, wzdłuż huczącego potoku ku morzu nagich skał, osnutych jeszcze mgłami i chmurami. Juon pozostał w chacie i miał dopiero w południe przyjść na oznaczone z góry miejsce, aby się ze mną połączyć. W ciągu przedpołudnia miał się zająć zgromadzeniem opału na noc, nie mógł bowiem z braku strzelby polować, a zresztą wziąłem go tylko dla tego, ażeby mógł w danym razie znieść w doły upolowaną kozicę.

Wspinając się mozolnie, zlany potem, wydrapałem się wreszcie na grzbiet góry, właśnie w chwili, gdy Aurora różowemi palcami owemi szczyty gór musnęła. Ostry, lodowaty wiatr hulał tu po wierzchach, że aż ręce kostniały. Kozice leżały jeszcze w swoich ostojach, więc idąc grzbietem wierchu lustrowałem uważnie zbocza i załomy góry. Dłuższy czas nie mogłem nic dojrzeć, nareszcie dostałem się do grupy skał, zwanej kościołem „biserica“. Tu położywszy się na brzuchu, zrzuciłem kapelusz i poczołgawszy ostrożnie ku krawędziom skalnym, wychyliłem ostrożnie głowę i spojrzałem na dół. W istocie, na małym płatku zieleni, ochronione

częścią zwisającemi z góry skałami, częścią ławicami od dołu wystającemi, ukryły się tu cztery kozice. Dwoje młodych leżało, stara ogryzała chudą trawę, kozioł zaś patrzył chmurnie w ziejące mgłami przepaście.

W jednej chwili zrzuciłem z nóg ciężko nabijane ciżmy i począłem jak wąż czołgać się pomiędzy zwilżone deszczem skały i kamienie. Szczęśliwie dotarłem już do kozic na odległość dobrego strzału i podniósłszy się nieco ponad krawędź skał, ujrzałem pod sobą kozła, ale — niestety! — ujrzał mnie i on! Jednym rzutem zawrócił na miejscu i zanim zdołałem podnieść strzelbę, zniknął mi z oczu. Teraz nie zależało mi już nic na tem, abym był ukryty, ale nadzwyczaj wiele na tem, abym mógł jeszcze kozła na strzał dostać. I w stocie wypłynął on wkrótce na przeciwległej krawędzi skał, a zatrzymawszy się chwileczkę, wydał z siebie znany dobrze, ostry świst trwogi. Podniosłem szybko strzelbę do oka i pocisnąłem kurek, ale gdy strzał padł, był już i kozioł w pełnej ucieczce, tak, że mu tylko tylną cewkę zgruchotałem. Zwierzę upadło w pierwszej chwili, lecz nim jeszcze odgłos strzału się rozszedł, zerwało się i na trzech nogach zniknęło wśród załomów i rozpadlin skalnych. Inne kozice, zaniepokojone już samą ucieczką kozła, spuściły się na dół i pomykały ze zdwojoną szybkością.

Tymczasem w kotlinie podemną zaczęły się wytwarzać gęste, ciężkie mgły, podnosiły się coraz wyżej i wkrótce otuliły nieprzebitą, szarą powłoką całe morze skalne. Znałem ja dobrze mgłę, tego zdradzieckiego towarzysza i największego nieprzyjaciela alpejskich łowców — wiedziałem, jak trudno rozłącza się ona z jarami i rozpadlinami skał, spieszyłem się zatem, ażeby pójść za farbą kozła, zanim mgła nad wszystkiem nie zapanuje. Upływ krwi zwierzęcia musiał być znaczny, gdyż wydrapawszy się na najbliższy grzbiet skalny, wyszukałem wkrótce za pomocą szkieł mego postrzałka. Zsuwałem się tedy przez skalny przesmyk, t. z. furtkę, „portizza“, chciałem mu zajść drogę, lecz pomyliłem się w rachubach, gdyż kozioł, skoro mnie tylko ujrzał, rzucił się stromą uboczą ku grzbietowi góry, widocznie, aby tamtędy przejść na stronę rumuńską. Gdyby się był tam dostał, byłby dla mnie na zawsze stracony, gdyż z wielu różnych względów nie mogłem i nie chciałem się za nim na obce terytoryum zapuszczać. Zwróciłem się tedy z powrotem ku przesmykowi, wżynającemu się pomiędzy pionowe ściany skalne i z możliwym pospiechem wracałem na grzbiet. Zaledwo tu stanąłem i skierowałem me kroki ku tej stronie, w której się spodziewałem, że kozioł wyjść powinien, usłyszałem dobrze mi znany łoskot usuwających się drobnych kamyków, i postrzałek mój, jak *deus ex machina*, wychylił się tuż przedemną na 50 do 60 kroków. Wspinanie się na trzech nogach musiało mu być bardzo uciążliwe, gdyż inaczej byłby się z pewnością przedemną na grzbiet skalny wydostał. Nie namyślając się wcale, strzeliłem do kozła w tem okamgnieniu, gdy przerażony mym widokiem na chwilę się zatrzymał. Zwierzę padło na miejscu, i próbując się jeszcze raz zerwać, spadło w przepaść pomiędzy mgły i skały.

A smugi mgły coraz gęstszej spłynęły się tymczasem w istne morze, zalewające cały widnokrąg a tak nieprzeźroczyste, że wkrótce na długość ramienia nie można już było nic widzieć przed sobą. Z przesiąkniętych wilgocią parowów wydobywały się bezustannie nowe kłęby, a chociaż tu i ówdzie błyszczały nademną okienka lazuru, wkrótce znów je mroczyły przelatujące mgliste tumany. Nie podobna się było ruszyć z miejsca; schroniwszy się więc za ścianę skalną, która mnie od przenikliwie zimnego i wilgotnego powiewu zasłaniała, czekałem dość długo, dopóki się mgły nie rozpierzchną. Ale czekałem nadaremnie; mgła, zamiast niknąć, wzmagała się i gęstniała coraz bardziej. Nareszcie zdecydowałem się mimo mgły schodzić z wszelką ostrożnością w tym kierunku, gdzie spadła moja zdobycz. Miałem zamiar wynieść ją na grzbiet góry i idąc zwolna grzbietem, dostać się do schroniska.

Niesłychanie ostrożnie, biorąc ręce i nogi do pomocy, spuszczałem się tedy zwolna po kamieniach na dół, lecz niebawem dostałem się w takie miejsce, gdzie nogi nadaremnie szukały jakiegokolwiek oparcia. Przewróciwszy się tedy na brzuch, zsuwałem się powolutku i w istocie napotkała jedna z nóg kamyk wystający, podczas gdy ręce obejmowały silnie ostrą krawędź skalną. Szukałem oparcia drugą nogą, aby dalej się spuszczać, lecz nadaremnie; usiłowałem tedy rozeznać położenie skał pod sobą, lecz i to nadaremnie — mgły snuły się nieprzerwanie nie dozwalając nic widzieć. Długi więc czas — dla mnie była to wieczność — stałem w tej samej pozycyi nieruchomy, gdy nagle urwał się kamień z pod mej nogi i z głuchym łoskotem stoczył się w przepaść...

Teraz wisiałem już tylko na rękach, obejmujących kurczowo wyskok skalny — nogi zwisające szukały nadaremnie jakiegokolwiek oparcia. Południe musiało już dawno minąć, i jeśli Juonowi nie przeszkodziła mgła, powinien był wyruszyć na umówione stanowisko i mógł w tej chwili znajdować się na grzbiecie górskim, gdzieś niedaleko odemnie. Zacząłem go więc wołać jak mogłem najgłośniej, wołałem o ratunek, hukałem — ale nadaremnie. Mgła gęsta tłumiła głos, albo towarzysz mój był w takiem oddaleniu, iż nie mógł mnie słyszeć. Palce przyciskały się coraz rozpaczliwiej do kamienia, mięśnie wątlały, żyły naprężyły się, a zimny pot zciekał mi po czole...

Jak długo będę mógł tak wisieć? — myślałem i szczególne uczucie poczęło mnie opanowywać. Zdawało mi się, że już czuję, jak palce od kamienia się odczepiają i że chwilka jeszcze, a runę w przepaść... Wszystko się skończy. Ha, raz kozie śmierć — umrzeć to umrzeć, ale tak młodo... A moja żona, a moje dzieci, a stary ojciec, mój mistrz w sprawach łowieckich?.. Wszystko to stawało mi przed oczyma.

Czy też ty, kochany druhu w św. Hubercie, modliłeś się kiedy gorąco, ale to tak gorąco, jak się modli żeglarz, gdy statek idzie pod wodę a nad nim przeskakują bałwany, wściekłą burzą miotane, i gdy mu ślepy przypadek wyrzuci z toni deskę, do której się przyczepił? W takich okropnych chwilach ucieka się dusza do Boga, w tych minutach najstraszniejszego niebezpieczeństwa modli się człowiek i szuka obrony w Tym, bez którego woli i ptaszyna z gniazda nie wypadnie

Ach, i ja się modliłem. Ramiona odmawiały mi już usługi, lecz wzmacniając je wyciągnąłem się jeszcze raz ku górze — i oto noga, szukająca jakiegolwiek oparcia, natrafiła na szczelinę w skale. Odetchnąłem; ciężar ciała nie był już w całości zawisłym od rąk, znalazł podporę. W wyszukanej szczelinie zdołałem się i końcem drugiej nogi zaczepić, mogłem więc teraz odrywać kolejno jedną rękę po drugiej i dać im w ten sposób wypoczywać.

Wstąpiła we mnie otucha, a także i mgły poczęły się rozpływać i tu i ówdzie można było głębiej sięgnąć wzrokiem. Spojrzałem pod siebie... Ach, widok był wcale nie pocieszający. Podemną ziała przepaść, nademną ściana skalna, niemal pionowa, po której wśród mgły niebacznie się spuściłem. Na szczęście mogłem się odważyć na posuwanie się ku prawej stronie, gdzie ściana skalna spadała terasowo,

dając stopom jakie takie oparcie. Wkrótce też wydobyłem się z rozpaczliwej pozycyi i niebawem odpocząłem na skrawku murawy między kamieniami. Mgła powracała chwilami, lecz znowu się rozchodziła. Tak upłynęło aż do wieczora, gdy wreszcie silniejszy wicher podniósł całe masy mgły i rozpędził.

Do góry nie mogłem się dostać, począłem więc próbować, czy nie zejdę na dół. Zachodzące słońce rzucało ognistemi blaskami na poszarpane szczyty skał i błogi wpływ wywarło swemi ciepłemi promieniami na moje zdrętwiałe i przeziębnięte członki. Zwolna dowlókłem się do tego miejsca, którędy kozioł w przepaść się stoczył. Wkrótce dojrzałem go nawet. Spadając zaczepił się różkami ne gałęziach górskiej, karłowatej olszyny i wisiał. Podniecony tym widokiem puściłem się już szybciej na dół — ale głód, pragnienie, wzruszenie i wycieńczenie sił spowodowały, że mi się noga na poruszonym kamieniu powinęła i upadłszy na ziemię, począłem się w dół staczać. Nie straciłem wszakże przytomności i starałem się wszelkiemi siłami chronić od gwałtownych uderzeń — zawsze jednak uderzyłem głową dość silnie o kamienie, gdym się nareszcie na rumowisku skalnem zatrzymał. Uderzenie pozbawiło mnie zmysłów i szczęście, żem tu pozostał, gdyż spadając niżej, byłbym się niezawodnie na miazgę rozbił.

Jak długo leżałem tak wśród kamieni bez przytomności, nie wiem; gdym wreszcie oczy otworzył, widniało nademną niebo zasiane gwiazdami i głucha cisza panowała wokoło. Potężne skaliska wznosiły się przedemną w magicznem świetle księżyca, przepaście natomiast kryła ciemność nieprzenikniona. Chłodny wiatr przeciągał pomiędzy górami. Dreszcz mną wstrząsał; z mozołą tylko zdołałem się podnieść i usiąść. Byłem jak kołem połamany; ramiona, plecy, krzyże, a szczególniej głowa bolały mnie nieznośnie. Mimo to, choćby dla uspokojenia mego towarzysza, próbowałem się poruszyć i zejść dalej na dół, a następnie dowlec się do schroniska. Dowlókłem się tak aż do kozła, lecz nie zdolny do dalszych wysileń, tutaj już resztę nocy przepędziłem.

Skoro się rozwidniło, usłyszałem odległe hukanie Juona. Odpowiedziałem na nie strzałem, szczęśliwym bowiem trafem strzelbie mej, którą miałem na piersiach a nie na plecach, nic się nie stało. Wkrótce ujrzałem Rumuna zdążającego zdołu ku mnie. Wołanie moje naprowadziło go już do reszty ku miejscu, na którem się znajdowałem. W pół godziny stał przy mnie.

— Juonie masz wódkę?

To było pierwsze pytanie, które się wydobyło z ust moich. Juon zamiast odpowiedzi podał mi swą drewnianą czutrę, z której długim łykiem pokrzepiłem opadłe siły. Piłem już w mojem życiu rozmaite specyały, lecz żaden płyn nie smakował mi jeszcze tak bardzo, jak owa fuzlowa gorzałka. Rumun podał mi jeszcze kawałątko słoniny, kromkę chleba i cebulę. Jakaż to była biesiada po przeposzczeniu całej doby!

Juon wypatroszył kozła i wziął go na plecy, a w niespełna półtorej godziny zeszliśmy w kotlinę i dostaliśmy się do blokhauzu. Tu zapłonął wnet potężny ogień przed domem, i podczas gdy Juon wątróbkę kozła na patyku przypiekał, wydobyłem ja z kryjówki pod dachem ostatki naszych wiktuałów. Cóż to było za śniadanie! Podczas gdyśmy się pokrzepiali, a kozioł wisiał na ścianie zawieszony rożkami na kołku, począł Juon już po raz dziesiąty:

— Aj panie! jakaż to była straszna noc! Myślałem, że oszaleję. Całe popołudniu szukałem pana. Wrzeszczałem tak, żem aż zachrypł, a nikt się nie odzywał. Ach, gdybym był miał jaką strzelbinę... Gdy się zmierzchać zaczęło, zabrałem się do powrotu, będąc pewnym, że pana w chacie zastanę. Ujrzawszy chatę prożną, nie wiedziałem co począć. Nie mogłem oka zmróżyć, i nim poczęło świtać, wybrałem się na poszukiwania. Bogu dzięki, że pan jeszcze żyjesz!

— Oj, tak, Bogu dzięki, kochany Juonie? A mogło być inaczej. Szkaradne to było polowanie!

Po śniadaniu ruszyliśmy w drogę, a pod noc byłem już z powrotem w gnieździe rodzinnem i mogłem w godzinę później czynić porównanie między ostatnim a obecnym noclegiem, który mi był tak rozkosznym jak nigdy.

# ŻYWIENIE ZWIERZYNY ŁOWNEJ.

**(Podług odczytu O. Heinikego).**

Gdy zadymki śnieżne zaczną hulać po lasach i polach, gdy ziemia pocznie się tulić w coraz grubszy kożuch śnieżny, a kto żyje szuka schronienia pod dachem w około ogniska — wówczas troska i niepokój wciska się do serca prawego łowcy. A nie jest to troska, że trudno będzie ze strzelbą na ramieniu brodzić przez głębokie śniegi, ale niepokój, co tam porabia biedna, wygłodzona zwierzyna, której karmę srogość zimy i śnieg coraz bardziej z pod stóp usuwają.

Troska to bardzo uzasadniona i godna miłośnika łowów, gdyż ochrona zwierzyny przed drapieżnikami i srogością przyrody jest najgłówniejszem z jego zadań. Jednakże nietylko w zimie winien on myśleć o podawaniu karmy zwierzynie; żywienie jej i w ciągu lata ma także swoje niemałe znaczenie, a w obec nowoczesnych warunków uprawy lasu i gospodarstwa leśnego, oraz groźby odszkodowań za szkody wyrządzane przez zwierzynę, staje się niemal koniecznością. Podnosić sztucznie wartość paszy leśnej, a tem samem odwodzić płową zwierzynę od spasania sąsiednich pól i zrządzania szkód w zapustach leśnych — oto ważny cel, który przy podsuwaniu karmy zwierzynie winno się mieć na oku.

Zwracamy się przedewszystkiem do letniego żywienia zwierząt łownych, a w szczególności sarn i jeleni w zwierzyńcach zamkniętych. Zadanie to dotyka zarówno leśnika jak i łowca, a nawet więcej pierwszego, bo jego to sztuka ma zwierzynie w obrębie lasu dostarczyć tej karmy, której zwierz w polu szuka i to w takiej ilości, aby dobry zwierzostan mógł się stale w kniei utrzymać. Bez jego po-

mocy zostaje zwierz ograniczony na rośliny dziko rosnące, nie mające dość pożywnych części, a nadto takie, które leśnik ze względu na kulturę lasu chętnie wytępia i których w ogóle w małych kompleksach lasu jest za mało, aby liczniejszemu zwierzostanowi wystarczały.

O cóż więc idzie? Oto o sztuczną uprawę pośród lasu pożywniejszej dla zwierząt paszy, bez szkody dla gospodarki leśnej, a z pożytkiem dla łowiectwa.

Do roślin, które z korzyścią czyto pośród drzew, czy na łysinkach i łączkach leśnych mogą być uprawiane, należy przedewszystkiem żyto leśne, świętojańskie. Sieje się je na wiosnę, także między kulturami. Do jesieni rozkorzenia się ono i wypuszcza liczne pędy, dające zwierzynie wyborną paszę, która jeszcze bardziej jest jej pożądaną na najbliższą wiosnę, bo się wcześnie odnawia i chętnie bywa spasana. Nie należy tu do rzeczy dowodzić, o ile pożyteczną jest taka uprawa żyta leśnego dla samych kultur, wypada jednak wspomnieć, że usuwa ona dzikie, bujające trawy, które głuszą młodą drzewinę.

Łubin, wyka i koniczyna zajmują także wybitne miejsce pomiędzy roślinami pastawnemi, które dla zwierza wśród lasu na zieloną paszę mogą być uprawiane. Wartość tych roślin polega w tem, że nietylko są one dla zwierząt zdrowe i pożywne, lecz doprowadzają również młodej drzewinie więcej związków azotowych, zapewniających jej silniejszy wzrost. Nie spasione zupełnie przed jesienią, mogą być skoszone i na suchą paszę zimową dla zwierzyny obrócone.

W ostatnich czasach stał się głośnym między rolnikami i leśnikami rosnący i u nas w dzikim stanie groszek leśny *(Lathyrus sylvestris)*, jako roślina pastewna, mająca w sobie najwięcej białkowych związków, tłuszczu i węglowodorków. Formacya jej korzeni roztwarza glebę, czerpie ona bowiem żywność z najgłębszych jej warstw, a pochłania znaczne ilości azotu liściowemi przetchlinkami z atmosfery. Groszek leśny udaje się na wszystkich glebach, gdzie tylko nie ma zbyt obfitej wody gruntowej, nawet na szutrowiskach, na piaskach, na stromych kamienistych zboczach itd. i nie wymaga gnojenia.

Zasłużony około rozpowszechnienia tej rośliny agronom Wagner, zdołał przez sztuczną 15-letnią uprawę odjąć groszkowi leśnemu właściwą mu w dzikim stanie goryczkę, a oraz wydelikacić powłokę ziarna do tego stopnia, że podczas gdy pierwej ziarno 6 do 8 lat leżało, zaczem zaczęło kiełkować, teraz odbywa się kiełkowanie w 20 do 25 dniach. Jako roślina trwała i z chciwością przez zwierzynę spożywana, nadaje się więc groszek leśny wybornie do remiz, na stoki wałów kolejowych, do zarzuconych kamieniołomów itd., jakie się nieraz pośród lasów i na nieużytkach trafiają.

Wykę kosmatą *(Vicia villosa)* spasa zwierzyna również bardzo chętnie, a udaje się ona przedewszystkiem na glebach piaszczystych. Na grunta zwięźlejsze, glinkowate, odpowiedniejszą jest zwyczajna wyka siewna *(Vicia sativa)*, będąca przysmakiem sarn.

Z pomiędzy łubinów najodpowiedniejszym jest łubin trwały *(Lupinus polyphyllus)*, gdyż znosi dużo cienia i rośnie jeszcze dobrze pod wysokiemi świerkami, jodłami i dębami. Sieje się go w maju, a na hektar trzeba około 30 kilogramów nasienia. Wzrostowi roślinek łubinu szkodzą zające, które go chciwie spasają. Brzegi lasów i linie leśne nadają się bardzo do uprawy tej rośliny pastewnej. Po rozwinięciu się rośliny, przed dojściem do owocowania, należy ją kosić, bo wówczas silniej się rozkorzenia, a pokazuje się już najwcześniej na wiosnę, t. j. w porze, gdy kultury leśne najwięcej od zwierzyny cierpią, i nęcąc wówczas ku sobie zająca i sarnę, odwraca je od kultur. W remizach leśnych i zwierzyńcach obierają bażanty bardzo chętnie krzaczki łubinu na swe gniazda.

Pomiędzy koniczynami jest tylko możność utrzymania białej koniczyny łażącej *(Trifolium repens)* w lasach i zapustach leśnych, a warto ją rozmnażać, gdyż należy ona do roślin, najchętniej przez zwierzynę spasanych. Na zarzuconych szkółkach i chmielnikach wśród lasów, gdzie ziemia dłuższy czas bywała uprawianą i gnojoną, nadaje się do uprawy rzepak jako wyborna i łakoma pasza, oraz olbrzymie kapusty *(Riesenkohl)*.

Jeżeli w lesie znajduje się łączka, to należałoby zaniechać eksploatowania jej na siano, a owszem zostawić ją w zupełności na paszę zwierzynie i stosownie do tego podsiewać ją roślinami, chętnie przez zwierzynę spożywanemi. Tem pewniej może wówczas liczyć myśliwy, że polując na podchodne, łatwo pasącego się kozła na takiej łączce nadybie.

Na wielkie względy myśliwego zasługują jeszcze dwa rodzaje bzu dzikiego, tj bez koralowy *(Sambucus racemosa)* i bez czarny *(Sambucus nigra)*. Jeśli się tylko w lesie znajdują, należy je szanować, gdyż to pożywna i smaczna pasza dla zwierzyny. Analizy robione w Tarandzie wykazały jak największą wartość spożywczą liścia obu tych gatunków bzu. Tak pąki liściowe jako też liść i pędy młode tych roślin spożywa zwierzyna płowa bardzo łakomie.

Lecz do tych wszystkich potraw należy się jeszcze przyprawa, i nie można, o nich myśląc, nie myśleć równocześnie o urządzeniu lizawek solnych. Są one potrzebne nietylko dla utrzymania zdrowia i dobrego odżywiania się zwierza łownego, lecz niemniej dla dobrego wykształcenia się parostków u kozła i wieńców jelenich — bo do lizawki należy nieodzownie przydawka wapna, które w budowie kości i wzroście rogów wraz z kwasem fosforowym najważniejszą odgrywa rolę.

Po spaleniu 100 części świeżej substancyi kostnej, wziętej z rogów, pozostaje: u jelenia 50·48, u kozła 47·82% popiołu, a skład tego popiołu jest następujący:

| | | u jelenia | u kozła |
|---|---|---|---|
| wapna . . . . | % | 51·96 | 52·13 |
| kwasu fosforowego | „ | 42·19 | 40·60 |
| magnezyi . . . | „ | 1·02 | 1·26 |
| kwasu węglowego | „ | 2·12 | 2·98 |

Wapno i kwas fosforowy są zatem najwybitniejszemi składnikami kości i rogów, i należy się starać o dostarczanie ich zwierzynie, a raczej o dodawanie tego, czego jej przyroda sama, w skutek zmienionych warunków kultury, w dostatecznej ilości dostarczyć już nie jest w stanie.

Jeżeli zważymy, że wzrost wieńca jeleniego i porostek kozła odbywa się w ciągu 4 do 5 miesięcy, to łatwo zrozumiemy, jakiej ilości wapna i kwasu fosforowego wówczas zwierzęciu potrzeba. Zwrócono już na to oddawna uwagę i dlatego usiłowano przez dodawanie mączki kościanej do karmy, potrzebie tej uczynić zadość. Ale z powodu zawartych w mączce substancyj klejowatych nie dało się to łatwo uskutecznić. Mączka kościana, jako taka, jest za mało rozpuszczalna, nie trzyma się długo i ma woń dla zwierza wstrętną. Czynione więc z mączką próby nie doprowadziły do pożądanych wyników.

W nowszych czasach wyciągają w niektórych fabrykach fosforan wapna z kości i osiągają tym sposobem bezwonny i nie mający żadnego smaku preparat, którym posypywana karma chętnie przez zwierzynę bywa spożywana. Podobną

mączkę sporządza np. fabryka „Ceres“ w Raciborzu. Wedle analizy dr. Jonasza w Wrocławiu zawiera ona w 100 częściach:

| | | |
|---|---|---|
| zasadniczego fosforanu wapna | . | 84·05 |
| węglanu wapna | . . . . . . | 7·28 |
| siarkanu wapna | . . . . . . | 3·16 |
| zasadniczego fosforanu magnezyi | | 2·42 |
| wodanu wapna | . . . . . . | 1·25 |
| fosforanu żelaza | . . . . . . | 0·36 |
| części nierozpuszczalnych | . . . | 0·81 |
| chlorku potasu, wilgoci i tp. | . . | 0·67 |
| Razem | . | 100·00 części: |

Profesor kliniki weterynarskiej w Lipsku Dr. Zürn zwraca uwagę, że jeśli zwierzętom przy żywieniu nie daje się dostatecznej ilości fosforanów wapna, to występuje u nich istny głód wapna, „Kalkhunger“. Leśnicy przypisują temu głodowi ogryzanie kory młodych świerków, która ma w sobie stosunkowo dość wapna i kwasu fosforowego. Jeleń ogryza korę najbardziej w pierwszym peryodzie tworzenia się wieńców, łanie w czasie ciąży i karmienia młodych, młode w początkach swego rozwoju, gdy wzrost kości więcej fosforanu wapna wymaga.

Doprowadzanie fosforanów wapna zwierzynie odbywa się w porze letniej najsnadniej za pomocą lizawek. Dr. Neumeister, profesor szkoły rolniczej w Tarandzie, pisze w tej sprawie co następuje: „Dostarczanie fosforanów wapna zwierzynie odbywa się przez cały rok za pomocą lizawek, w zimie nadto przez mieszanie go z ziarnem, przeznaczonem na karmę. Ażeby zwierzynę do wapna przyzwyczajać, lepiej dodawać go naprzód do lizawek, które umieszczać należy w pobliżu paszy, miejsc do pojenia, i na najzwyklejszych przesmykach zwierza.“ Na sporządzanie lizawek podaje Neumeister następującą receptę: „Daj do skrzyni drewnianej 10 kilogramów gliny, wolnej od piasku i części żelezistych, rozrób ją wodą na dość gęstą braję, dodaj do tego 2 klgr. soli kuchennej i kilogram fosforanu wapna i wymieszaj wszystko jak najdokładniej. Utworzona w ten sposób masa wystarcza pospolicie na 5 lizawek. Każdą z lizawek należy jeszcze posypać odrobiną nasienia anyżowego, aby zwabić zwierza. Szczególniej kozły ściągają do anyżu, tak, że przy lizawkach takich można je na pewniaka podjeżdżać. Gdy w zimie lizawki pozamarzają, wypada je posypywać solą.

W nowszych czasach pojawiają się w handlu gotowe cegły lizawkowe, które w podobny sposób bywają sporządzane.

Sól kuchenna jest również ważnym czynnikiem przy żywieniu zwierząt. Szczególnie pożądaną jest ona wtedy, gdy zwierzęta łowne po długotrwałych ciepłych deszczach wybujałe trawy, lub z zimy stęchłą, zeschłą, ubogą w składniki pożywne karmę spożywają i tem różnych zaburzeń w procesie trawienia się nabawiają. Dodatek soli powoduje żywsze wydzielanie się soków żołądkowych, wskutek czego staje się trawienie energiczniejszem, i zapobiega szkodliwym następstwom, jakie spożycie złej karmy za sobą pociąga. Sól podnieca zresztą proces asymilicyjny odżywiania, podtrzymuje czynność skóry, porost sierci i procesy płciowe.

Nadleśniczy Holfeld sporządza lizawki z mieszaniny własnej kompozycyi, do której wchodzą:

12·5 części sproszkowanego anyżu, *(Sem. anisi)*
12·5 „ sproszkowanego kopru włoskiego, *(Sem. foeniculi)*
10 „ „ korzenia fiołkowego, *(Iris florentina)*
10 części sproszkowanego korzenia lubczyku *(Ligusticum)*
10 „ „ *Foenum graecum*
5 „ „ tureckich galasówek
5 „ „ słodkiego drzewa
35 „ dwuzasadowego fosforanu wapna.

Lizawkami takiej kompozycyi osiągać miał Holfeld bardzo znaczne rezultaty przy wzroście rogów u jeleni i kozłów.

Tyle co do letniego żywienia zwierzyny łownej. Przypatrzmy się teraz warunkom karmienia zwierza w zimie i rodzajom zimowej karmy.

Przedewszystkiem wypada tu uczynić kilka ogólnych uwag co do czasu i wyboru miejsca na podawanie karmy. Jako regułę należy przestrzegać, aby nie wywożono karmy dopiero wtedy, gdy brak paszy i głód między zwierzyną zapanuje, lecz już pod koniec jesieni, tak, aby zwierzyna do wyszukiwania miejsca z karmą nawykła. Miejsca te powinny być o ile możności w grubym lesie, dla zajęcy i sarn także w młodszych lasach, lecz nigdy na zapustach i kulturach. Wielkiej doniosłości jest i to, aby w pobliżu miejsc z karmą znajdywała się woda przydatna na poidło, szczególniej nie zamarzające w zimie źródliska.

Dalszym warunkiem miejsc obranych na karmę jest to, aby leżały w zaciszu i nie były niepokojone, a wolne od silnych wiatrów. W górskich okolicach trzeba obierać stoki zwrócone ku południowi i przytykające do wygodnych przesmyków

Jeżeli zwierzostan jest silny, to należy założyć kilka żłobów czy tryzubów w niewielkiem od siebie oddaleniu, tak, aby wszystka zwierzyna mogła się bez trudności do karmy zbliżać. Po spadnięciu większych śniegów wskazanem jest przekopywanie drożyn z pobliskich gąszczy i przesmyków ku miejscom, gdzie karmę się podaje.

Przechodząc do rodzajów suchej karmy zimowej, dajemy pierwszeństwo drobnemu sianu łąkowemu i koniczynie. Tryzuby nakryte daszkami nadają się najlepiej do umieszczania tej karmy. Siano, jak między drabkami, mieści się pośród rosochów podtrzymujących daszek, dołem zaś mogą być umieszczone niskie żłobki na ziarno. Najprymitywniejszym sposobem jest umieszczanie wiązek siana pomiędzy gałęziami drzew, aż do spodu ugałęzionych — marnuje się jednak przez to paszę, bo nie jest dostatecznie od deszczów i śniegów ochroniona, a gdy raz przemoknie, już ją sarny niechętnie biorą i staje się dla nich szkodliwą.

Na jedną sztukę sarny przyjmuje sę w przecięciu 1 do $1^1/_2$ kilograma siana na dobę; jelenie potrzebują przynajmniej dwa razy tyle. Na zająca liczy się trzecią część a najwyżej połowę tego, co na sarnę.

Ale jeśli się ma sarny w kniei, nie można na samem sianie poprzestać, nawet gdyby było najwyborniejsze, bo siano zawsze dużo wilgoci z powietrza naciąga, a wtedy staje się dla sarn trucizną. Zdarzyło mi się nieraz napotykać na padłe przy sianie sarny i sekcya żołądków ich wykazała, iż były przepełnione sianem, które nie pkazywało śladów trawienia. Zresztą skłonną jest sarna, podobnie jak owca, do motylicy, a zarodki tejże dostają się do jej żołądka z wilgotną paszą na łąkach i z wilgotnem sianem, które rozwojowi motylicy sprzyja i w końcu śmierć zamotyliczonej sztuki sprowadza.

Jako odmianę w paszy można z korzyścią zamiast siana zwykłego używać wyki lub siana z łubinu. A dość częste zmienianie karmy jest w ogóle przy żywieniu zwierzyny łownej wskazane. (Dok. nast.)

# Wykaz ubitej zwierzyny

w rewirach Towarzystwa myśliwskiego im św Huberta we Lwowie*).

| Rok | Zwierząt drapieżnych | | | | | | | szkodliwych | | płowych | | | Ptaków drapieżnych | Ptactwa pożytecznego | | | | | | | | | | | | | | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| | Niedźwiedzi | Rysiów | Wilków | Żbików | Lisów | Kun | Wyder | Dzików | Borsuków | Jeleni | Kozłów | Zajęcy | | Głuszców | Cietrzewi | Jarząbków | Kuropatw | Przepiórek | Chruścieli | Siewek | Kulonów | Łabędzi | Kormoranów | Gęsi | Kaczek | Nurków | Słonek | Dubeltów | Kszyków | Kulików | Kurek | Rozmaitych |
| 1879 | . | . | . | . | . | . | . | . | . | . | . | 2 | 7 | . | . | . | . | . | . | . | . | . | . | . | . | . | . | . | . | . | . | . |
| 1880/1 | . | . | . | . | . | . | . | 1 | . | . | 3 | 29 | 18 | . | . | 1 | . | . | . | . | . | . | . | . | 26 | . | 2 | . | . | . | . | . |
| 1881/2 | . | . | . | . | 4 | . | . | 3 | . | . | 6 | 42 | 29 | . | . | 3 | 1 | 39 | 23 | . | . | . | . | . | 31 | . | 16 | 11 | . | . | . | . |
| 1882/3 | . | . | . | . | 7 | . | . | 5 | . | . | 9 | 58 | 37 | . | . | 4 | 5 | 62 | 51 | 7 | . | . | . | . | 36 | . | 37 | 22 | 48 | . | 13 | . |
| 1883/4 | . | . | . | . | 23 | 2 | . | 4 | . | . | 14 | 79 | 68 | . | . | 2 | 11 | 106 | 94 | . | . | . | . | . | 27 | 1 | 81 | 18 | 71 | 2 | 17 | 5 |
| 1884/5 | . | . | . | . | 49 | 1 | . | 6 | 1 | . | 13 | 184 | 57 | . | . | 1 | 9 | 493 | 178 | 2 | . | . | . | 2 | 48 | 3 | 66 | 37 | 121 | 14 | 39 | 11 |
| 1885/6 | . | . | . | . | 71 | . | 5 | 4 | . | . | 61 | 273 | 93 | . | . | 6 | 21 | 684 | 391 | 5 | 9 | . | . | 3 | 272 | 2 | 95 | 262 | 938 | 49 | 85 | 32 |
| 1886/7 | . | . | . | . | 61 | . | 3 | 7 | 2 | . | 75 | 298 | 75 | . | . | 7 | 35 | 832 | 589 | . | 14 | . | . | 7 | 451 | 8 | 64 | 320 | 1211 | 32 | 111 | 48 |
| 1887/8 | 1 | 2 | . | 1 | 72 | . | . | 12 | . | . | 89 | 212 | 112 | . | 2 | 3 | 48 | 1075 | 622 | . | 3 | . | 2 | . | 675 | . | 57 | 215 | 1792 | 41 | 97 | 29 |
| 1888/9 | . | . | . | . | 75 | . | . | 9 | . | . | 73 | 325 | 98 | . | . | 5 | 39 | 1125 | 513 | 2 | 1 | . | . | . | 283 | 1 | 84 | 276 | 1005 | 26 | 105 | 63 |
| 1889/90 | . | . | . | . | 68 | . | . | 7 | . | . | 83 | 396 | 124 | . | . | 1 | 27 | 1266 | 611 | . | 2 | . | . | . | 167 | . | 43 | 117 | 230 | 9 | 21 | 32 |
| 1890/1 | 3 | . | . | . | 83 | . | . | 11 | . | 1 | 74 | 359 | 111 | . | . | 4 | 21 | 1301 | 452 | 4 | . | . | . | . | 71 | 2 | 76 | 168 | 411 | 3 | 65 | 41 |
| 1891/2 | . | . | . | . | 49 | . | . | 8 | . | . | 59 | 249 | 106 | . | . | 3 | 24 | 1203 | 1385 | 2 | 2 | . | . | . | 217 | 4 | 56 | 352 | 2715 | 39 | 123 | 29 |
| 1892/3 | . | . | . | . | 29 | . | . | 6 | . | 3 | 25 | 221 | 80 | 5 | . | . | 15 | 1117 | 836 | . | . | . | . | . | 313 | . | 36 | 211 | 655 | . | 195 | 40 |
| 1893/4 | 1 | . | . | . | 32 | . | . | 15 | . | 1 | 42 | 264 | 120 | 7 | 1 | 1 | 18 | 816 | 536 | . | . | 1 | . | 2 | 282 | . | 45 | 206 | 1503 | 25 | 170 | 32 |
| **Razem** | 5 | 2 | . | 1 | 623 | 3 | 8 | 98 | 3 | 5 | 626 | 2991 | 1135 | 12 | 3 | 41 | 274 | 10119 | 6281 | 22 | 31 | 1 | 2 | 14 | 2839 | 21 | 758 | 2215 | 10700 | 240 | 1041 | 362 |

Towarzystwo liczyło w r. 1893/4 64 członków.

*) Tabela powyższa została umieszczoną w pawilonie łowieckim Wystawy krajowej.

# KORESPONDENCYE.

Lwów, d. 5. października 1894.

## (Premiowania na wystawie.)

Wystawa się kończy — uroczy pawilon łowiecki opustoszeje wkrótce — wspaniałe trofea wrócą znów zdobić komnaty tych łaskawych dawców, którzy się na wyposażenie pawilonu złożyli — chyba sam cis pozostanie smutny, pożółkły na ruinach przybytku, w którym łowcy niejedną miłą chwilę spędzili.

Jako druga pamiątka po wystawie pozostanie lista nagród, ktore komitet sędziów w dziale tym przyznał. Jurorowie byli w niemałym kłopocie co do zasady samego premiowania. Dawać np. medal właścicielowi rogów, tylko za to, że je posiada, nie wydawało im się właściwem — nie zawsze bowiem trofea takie są zdobyczą własnych łowów, a nawet i wtedy, raczej nagrodę daćby jeleniowi, że piękny wieniec posiada, niż szczęśliwemu łowcy, który je zdobył. Pojedyncze trofea zatem, jako takie, nie uznano za kwalifikujące się do premiowania. Zbiory całe natomiast, czyto świadczące o naukowych badaniach w zakresie łowiectwa, czyto będące dowodem wzorowej gospodarki łowieckiej, zestawienia tabelaryczne i graficzne, dające pogląd na zwierzostany, ochronę i pielęgnowania zwierząt w kniejach i w zwierzyńcach, nareszcie broń łowiecka i przybory myśliwskie uległy ocenie i premiowaniu, a orzeczenie komitetu sędziów wypadło jak następuje. Otrzymali:

*Dyplom honorowy Ministerstwa handlu.*

Dzikowski Alfred we Lwowie za wzorowo wykonaną i wykończoną we własnym warsztacie broń myśliwską.

*Dyplom honorowy Ministerstwa rolnictwa.*

Towarzystwo lisowieckie we Lwowie za 23-letnie wzorowe prowadzenie gospodarstwa łowieckiego i przedstawienie listy strzałowej, świadczącej o stopniowem podnoszeniu się zwierzostanu.

*Dyplom honorowy Komitetu wystawy.*

Władysław Spausta w Koszarkach za zebranie i wystawienie przyborów kłusowniczych i broni, za naukowe zestawienie formacyi i rozrostu rogów rogacza i wystawienie szkód leśnych, wyrządzanych przez zwierzynę na sadzonkach i drzewach.

*Medal złoty Komitetu wystawy.*

Stanisław hr. Stadnicki w Krysowicach, Roman hr. Potocki w Łańcucie, Adam ks. Sapieha w Krasiczynie, Andrzej hr. Potocki w Krzeszowicach za wzorowe gospodarstwo łowieckie.

*Medal srebrny Ministerstwa rolnictwa.*

Kazimierz hr. Badeni w Busku, Tow. św. Huberta we Lwowie za racyonalne prowadzenie gospodarstwa łowieckiego.

*Medal srebrny Komitetu wystawy.*

Szadkowski i Kopczyński we Lwowie za doborową broń. Juliusz Bielski w Rychcicach za racyonalne prowadzenie gospodarstwa łowieckiego. Rudolf Nerlich w Bielsku za rośliny dla remiz i przybory łowieckie. Jan Stachiewicz we Lwowie za nasiona dla remiz. Marcin Müller we Lwowie za ubrania i obuwie myśliwskie.

*Medal bronzowy Ministerstwa rolnictwa.*

Tabaczkowski Kazimierz, kierownik warsztatu A. Dzikowskiego. Tabaczkowski Franciszek, rytownik w warsztacie A. Dzikowskiego. Parandziej Jan dozorca polowania Lisowieckiego, za nienaganną 15-letnią służbę. Matkowski Antoni z Weldzirza za wypychanie i udekorowanie okazami łowieckiemi pawilonu br. Poppera. Jarosz i Sobołta za okazy z własnej pracowni rusznikarskiej.

*Medal bronzowy Komitetu wystawy.*

Liebig, za model parku do łapania żywcem dzików. Cichlarz ze Spasa, za model parku do łapania żywcem dzików i okazy łowieckie. Habicht Wilhelm z Gumnisk, za zestawienie szkodników w dziale łowiectwa i rybołostwa. Wojakowski (rymarz), za przybory łowieckie dostarczone firmie A. Dzikowskiego. Hartl Edmunt we Lwowie, za wzorowe i artystyczne wypychanie okazów łowieckich.

Komisya sędziów przedstawiła jeszcze Dyrekcyi Wystawy cały szereg zamiłowanych myśliwych, których medalami wystawowemi wynagradzać nie może, a którzy w wysokim stopniu przyczynili się do uświetnienia wystawy użyczając swych zbiorów pawilonowi łowieckiemu, i prosi, ażeby im za to wyrażono najgoretsze uznanie i podziękowanie.

Wiele z najciekawszych trofeów pawilonu zostanie uwiecznionych w fotografiach, któremi ozdobione zostanie pamiątkowe dzieło o wystawie, redagowane pod kierownictwem Wydziału krajowego.

*S.*

---

Lwów we wrześniu 1894.

## (Wystawa i przeloty ptaków.)

Będąc zajęty na Wystawie jako funkcyonaryusz w biurach Dyrekcyi Wystawy, bawię tam codziennie do późna w nocy.

W dniu 2 września usłyszałem około godziny 10. wieczorem donośne, a dobrze mi znane pogwizdywania kulików. Wyszedłszy z kancelaryi, poszedłem w kierunku miejsca, z którego mnie to jakby żałosne gwizdanie dochodziło i doszedłszy do pawilonu piśmiennictwa, zobaczyłem całe stadko tych ptaków, około 50 sztuk, unoszące się nad wieżyczką pawilonu i nad lampą elektryczną tuż obok stojącą. Niezwróciłem na to pilniejszej uwagi i dopiero nazajutrz, gdy stróż nocny przyniósł mi do kancelaryi trzy żywe kuliki, schwytane w rękę, zacząłem śledzić za przyczyną tego i doszedłem do przekonania, że olśniewające światło lamp elektrycznych przynęca te ptaki, które przeciągając ponad placem Wystawy spadają na dół, a tłukąc się o druty przewodów elektrycznych, oszołomione, bez trudu dają się chwytać.

Zainteresowany tem zjawiskiem, śledziłem je przez pięć dni z rzędu i oto co zebrać zdołałem:

Dnia 2. w r z e ś n i a złapała służba wystawowa: 11 kulików (z tych dwa nieżywe), 7 przepiórek (z tych tylko jedna żywa) i jedną kuropatwę, którą jednak za interwencyą kogoś z publiczności puszczono wolno w parku.

D. 3. w r z e ś n i a znaleziono: 19 kulików (wszystkie żywe), 4 przepiórki (z tych jedna nieżywa z silnie potłuczoną główką, znaleziona pod pałacem sztuki).

D. 4. września znaleziono: 13 kulików (wszystkie żywe), 4 przepiórki (z tych 3 nieżywe) i 3 kuropatwy (wszystkie 3 nieżywe).

D. 5. września: 27 kulików (z nich dwa nieżywe), 1 kuropatwa żywa i zdrowa (kupił ją ktoś od strażnika nocnego za 30 kr.) i „jakiś ptak bardzo duży większy od bociana, cały siwy“ (jak się domyślam był to żuraw). Gdy go jednak chwycono, uderzył napastnika tak silnie dziobem w rękę, że skaleczył go do krwi i wyrwawszy mu się z rąk, uciekł.

D. 6. września: 3 kuliki (żywe), 2 przepiórki (nieżywe), 1 kuropatwa (nieżywa) i 1 kaczka (ale jaka tego nie wiem, bo nie widziałem jej).

Żywe ptactwo po przenocowaniu wypuszczano rano — nieżywe zabierała służba, chwaląc je sobie bardzo, szczególniej przepiórki, które były bardzo oblane. Od 6. września wszystko ustało.

*K. A. Kostecki.*

---

Lwów, d. 8. października 1894.

**(Dziki pod Wystawą krajową.)**

Przed kilkunastu dniami dał znać Towarzystwu myśliwskiemu miejskiemu zarządca rewiru Zubrzy p. Niedźwiecki, że w jego rewirze, dziale „Masztarnia“, pojawiły się dziki w liczbie sześciu. Niewielkie to były druhy, kilkumiesięczne, ale prawdopodobnie zwabione zachwytami dzienników wiedeńskich i ganieniem Wystawy naszej przez dzienniki czeskie, z ciekawości zjawiły się pod Wystawą, by na nią w porze nocnej zaglądnąć.

Niestety! zaraz popołudniu, gdy się tylko pojawiły, wyjechało na ich spotkanie trzech tylko ale dzielnych towarzyszów z miejskiej drużyny myśliwych: pp. E. N., M. H. i M. L. Przyłączyło się się do nich również „bez jedzenia obiadów“ dwóch jeszcze myśliwych i wraz z zarządcą rewiru o godzinie 4 popołudniu zaczęto brać pierwszy miot. Zamówiona poprzednio nagonka przeszła miot cicho — cisza — dzików ani śladu — oblicza zgłodniałych myśliwych przeciągnięte. Biorą miot drugi, i oto sześć sztuk nie malców, ale już młodzieńców dziczych szuruje na p. M. H., który uzbrojony w sztuciec oczekiwał, ażali tej młodzieży nie prowadzi jaki mentor, jak to się dzieje z wycieczkami dzieci na Wystawę, któryby był godniejszy kuli z Szailerowskiego sztućca. Niestety mentora nie było, więc p. M. H do ostatniego młodzieńca pociągnął na zarośniętej trawą linii, poczem wszystkie w przeciwny miot podążyły. Na strzale farba! P. M. H. poszedł za nią i wkrótce znalazł nieżywego już dzikusa z przestrzeloną na wylot komorą. Strzał godny powinszowania! Tymczasem reszta myśliwych brała miot trzeci i tu odbyła się rzeź niewiniątek! Pp. E. N. i podpisany sprawozdawca strzelali do trzech sztuk śrutem wprawdzie ale niemniej skutecznie, gdyż p. E. N. ubił jednego, podpisany zaś miał zaszczyt uczynić dubletę. Gdy światła elektryczne przebłyskiwać zaczęły przez zżółknięte już opony drzew, dążyli myśliwi z bogatym łupem na kraj lasu, gdzie lwowski fiaker z podziwem ujrzał dziki, mówiąc: „Taki mały las i tyle dzików“. Poczciwiec myślał pewnie o stadach! Oto historya rzezi najnowszej pod Lwowem i sądzę, że długo trzeba będzie czekać, zanim się takowa znowu wydarzy.

*L. G. Dz.*

---

Stryj, dnia 1. października.

**(Polowanie na dziki.)**

Sezon polowań kniejowych w naszem Towarzystwie myśliwskiem rozpoczęliśmy polowaniem na dziki w Dieduszycach małych, w lesie dworskim, gdzie dziki stale przez całe lato i jesień przebywają i w kartoflach i kukurudzy chłopskiej ogromne szkody robią. Polowanie odbyło się dnia 8. września w 9 strzelb. Padły 2 dziki duże (odyniec i locha), 1 tęgi cap z ładnemi parostkami i 4 lisy. Jeden odyniec kolosalny, przestrzelony kulą z gładkiej lufy na wylot, zaszył się w gęstwinę krzaków i traw w młodym zrębie i uszedł powoli, brocząc silnie i kładąc się co chwila, do lasów Czołhańskich, gdzie go też po kilku dniach, jednakowoż silnie już cuchnącego, znaleziono. Kula przeszła mu na wylot przez brzuch, a na miejscu strzału znaleźliśmy kawałek skóry ze szczecią i kulę spłaszczoną. Dzików było mnóstwo, jak to jednak bywa w lecie i w jesieni, zostały w miocie lub wyszły bokiem.

W trzech miotach (najgęstsze zapusty podszyte trawą) były 2 maciory z warchlakami, które nagonka otoczyła, biła kijami i jakiś czas pędziła przed sobą na linię, to jednakowoż ani jedna sztuka nie wyszła z nich na linię, lecz zostały w miocie. Braliśmy ten miot dwa razy, ale oprócz głośnych krzyków i nawoływań nagonki na widok dzików i drugą razą rezultat był ten sam.

Szkoda, że dziki przebywają w Dieduszycach tylko w lecie i w jesieni, kiedy polowanie na nie z powodu gąszczów nieprzebytych bardzo utrudnione. Obecnie już ich tam nie ma — stado całe przebuszowało łany kukurudzy i kartofli — las zryły tak, jak gdyby kto motyką kopał i wyniosły się do sąsiednich lasów Turzańskich. W zimie chyba jaka zabłąkana sztuka przemknie tam przez linię, bez strzału zwykle albo postrzelona śrutem, jak się to zwykle dzieje, gdy dzik niespodzianie się pokaże. Na zimę mamy jednakowoż inną knieję na dziki, mianowicie Hajduczyznę, lasy miasta Stryja, położone obok Daszawy i spodziewamy się tam niezwykłych rezultatów, które nie omieszkam Szanownej Redakcyi w swoim czasie do wiadomości podać.

*B. W.*

---

Kraków, dnia 4. października.

**(Przeprawa wyżła z lisem.)**

Przeprawa wyżła z lisem nie należy do zbyt częstych, sądzę więc, że może zainteresować czytelników „Łowca“.

„W dniu 15. września polowaliśmy we dwójkę z wyżłem w okolicy Jarosławia, buszując w burakach za ptactwem, wtem ujrzałem wymykającego się mykitę. Strzał śrutem Nr. 6 z dość znacznego oddalenia poraził go tylko trochę, a niepodobna było poprawić, gdyż przyjaciel kuropatw chyłkiem a sprytnie przemykał się bruzdami. Gdy się więc wydostał na czyste pole, pokazał nam kitę i chociaż kulawy, znikł szybko za dość oddalonym pagórkiem. Uważaliśmy go za straconego, ale wyżeł, wysłany za tropem, począł za pagórkiem naszczekiwać, przywołując nas do siebie. Ciekawy widok przedstawił się nam, gdyśmy na pagórek wyszli. Posłuszny „Trym“ i lisiura stoją naprzeciw siebie w pojedynku, z naprężoną uwagą na każdy ruch przeciwnika, a chwilami kręcą się w tej pozycyi razem, jak dwa bieguny igły magnetycznej. Dwa razy w oczach naszych chwycił pies szybkim ruchem lisa za kark i powalił go na ziemię, poczem

ponownie rozpoczął się taniec. Gdyśmy się zbliżyli na odległość około stu kroków, oglądnął się pies, zadowolniony z przybywającej pomocy, a lisiura skorzystał natychmiast z chwilowej nieuwagi nieprzyjaciela i odsadził się dość daleko w kierunku lasu.

Gdyśmy psa powtórnie wysłali za lisem, dopadł go jeszcze raz w oddaleniu około 30. kroków od lasu i wstrzymał na miejscu, dopókiśmy nie przybyli i dopóki drugi strzał z lufy mego towarzysza nie zakończył życia rabusia. Nie bez szwanku wyszedł pies z tej przeprawy, gdyż pysk miał dość silnie pokaleczony. Dodać należy, że lis był młody, gdyż niewielki wyżeł pointer miałby ze starym wygą niezawodnie trudniejsze zadanie. *S—m.*

# KRONIKA.

**Wystawa psów**, zapowiadana na powszechnej Wystawie krajowej na ostatnie dni września, musiała być odwołaną. Smutny to objaw obojętności naszych myśliwych i miłośników psów. Pomimo rozesłaniu znacznej ilości programów i zaproszeń, zgłoszono niespełna 20 sztuk psów na Wystawę. Z taką ilością nie można było zaiste do otwarcia Wystawy przystępować i podejmować próbnych ćwiczeń w polu i w jamach — słusznie też zrobiła Dyrekcya Wystawy, odwołując okresową Wystawę psów, bo byłaby w sposób bardzo dotkliwy cały nasz świat myśliwski skompromitowała. Udały się czasowe Wystawy królików, drobiu, nierogacizny itd. tylko z psami było trudno. Doprawdy, nie znajdujemy na to żadnego tłumaczenia, boć zaiste ani kosztów wielkich ani starań nie pociągało to za sobą, aby pieski do Lwowa wysłać i przez trzy dni je trzymać. W zachodnich prowincyach Austryi i w Niemczech nie upłynie ani miesiąc, żeby gdzieś nie urządzano wystawy psów i prób ich zdolności — u nas obojętność i lenistwo nie są w tej sprawie do przełamania. To też albo płacimy bajecznie duże sumy za zagraniczne „puppies“ podejrzanej wartości, albo krzyżujemy rasy psów bez planu i celu, gubiąc do reszty nawet i te psy, które kiedyś w Polsce wysoko były cenione, i o których książki jeszcze coś piszą, ale w kraju nikt prawie już ich nie zna. Czy długo tak jeszcze potrwa? Czyż w kraju, gdzie pies myśliwski tak wielkie miał znaczenie, nie zdobędą się myśliwi na racyonalną hodowlę psów, na wzorową psiarnię, na towarzystwo hodowli psów, na jakąkolwiek wystawkę? Można mieć to i owo kierunkom hodowli do zarzucenia, ale godziłoby się mieć chęć i odwagę czynienia tego lepiej. Tymczasem cała uwaga naszych myśliwych zwrócona jest jedynie na obserwowanie i kształcenie indywidualnych zalet psa, ale o produkcyi i uszlachetnianiu ras nikt nie myśli. Błąkamy się też w gmatwaninie pokurczów bez planu i systemu, a gdy się nam to sprzykrzy, sprowadzamy obce „puppies“ za drogie pieniądze. Oto smutny obraz naszej hodowli psów. *Difficile est satyram non scribere...*

---

**O pelikanach** donoszą nam z różnych stron kraju. Pojawiły się one w pierwszych dniach października. Widocznie zagościła na wodach naszych jakaś liczniejsza gromadka przelotna w podróży na południe. W Monasterzyskach widziano sześć sztuk (*Pelecanus minor*) dwie ubite sztuki przysłane zostały do muzeum im. Dzieduszyckich. W Trybuchowcach w powiecie Buczackim zastrzelono jednego pelikana większego, *Pelecanus onocrotalus*. Widziano je również w Zastawcach na Bukowinie. Ostatniemi laty należał w ogóle pelikan czyli baba do ptaków dość rzadkich. Tak gromadnego przelotu przez wschodnie powiaty Galicyi, jak obecnie, nie było już od lat dwunastu.

---

**Na wystawę tysiącletnią** w r. 1896. przygotowują Węgrzy w Budapeszcie między innemi osobny pawilon dla łowiectwa. Udział swój w tym pawilonie przyrzekł już arcksiążę Józef August, myśliwy zapalony, i dla zbiorów swych zamówił 50 metrów kwadratowych. Deklaracye do grupy łowiectwa mają już teraz licznie nadpływać.

---

**Dzikie wielbłądy.** Jenerał Przewalski, znany z swych podróży, a nieżyjący już dziś geograf i przyrodnik, donosił jeszcze przed siedmnastu laty, że na stepach środkowej Azyi żyją stadami dzikie wielbłądy. Obecnie potwierdza tę wiadomość p. Kozłow, który z polecenia rosyjskiego Towarzystwa geograficznego środkową Azyę objeżdża. Natrafił on w okolicach Lob-noru i Sadżui znaczne stada dzikich wielbłądów. Udało mu się zastrzelić pięć sztuk, z których zachował czaszki i skóry. Wedle relacyi Kozłowa różni się dziki wielbłąd swem zachowaniem zupełnie od swego ułaskawionego pobratymca. Objawia nadzwyczaj wiele przezorności i chytrości, ma węch bardzo czuły, wzrok bystry, słuch wyborny, a skutkiem tego podejść dzikiego wielbłąda jest rzeczą wcale nie łatwą. Skoro go się spłoszy, ucieka w pustynię milami całemi. W budowie swej nie różni się dziki wielbłąd od wielbłąda ułaskawionego, jest średniej wielkości, uszy ma nieco krótsze, włos równiejszy i jednostajniej po całem ciele rozpostarty, garbów nie ma wcale. Są wszakże naturaliści, którzy utrzymują, że garby u wielbłąda, to właśnie nabytek długiej hodowli w niewoli, że się wytworzyły pod wpływem dźwigania ciężarów i warunków żywienia. Jak wiadomo, są to narośle tłuszczowe, które znacznie się zmniejszają jeśli wielbłąd gorzej się odżywia.

Takim jest sprawdzony przez Kozłowa wielbłąd dziki. Czy jednakże jest on w istocie dzikim, albo tylko zdziczałym — tego jeszcze nie rozstrzygnięto. Jeśli się weźmie na uwagę, jak łatwo konie i bydło rogate powracają w Ameryce południowej do stanu dzikości, jak prędko dziczeją zwierzęta domowe w Australii, jak sam tarpan stepów czarnomorskich jest tylko zdziczałym koniem, podobnie, jak *Equus Przewalski* na stepach środkowej Azyi — to z łatwością można przypuścić, że wielbłądy widziane i ubite przez Kozłowa nie są dzikiemi, lecz tylko zdziczałemi zwierzętami.

---

**Czy nie za dużo?** Mamy przed sobą sprawozdanie z polowania na kozice, które w gronie bardzo dobrych myśliwych pod wodzą ks. Franciszka Józefa Auersperga odbyło się ostatnich dni sierpnia w Zillerthalu. Polowano przez sześć dni. D. 27. sierpnia ubito 18 kozic, 28. aż 50 sztuk, następnego dnia 47, d. 30. sierpnia 16, d. 31. sierpnia 21, a 1. września 40 kozic. Prócz tego 3 sztuki zostały postrzelone. Razem padło 195 kozic!! Czy nie za dużo?

Zaprawieni na hekatombach zajęcy i hodowanych z ręki dzików, pragnęliby nasi kawalerowie sportowi bić także bez opamiętania zwierzynę szlachetniejszą. Czy jednak te ginące resztki wytrzymają jeszcze choćby przez jedno pokolenie przy tak bezwzględnem postępowaniu myśliwych? Czy to roztropnie? Chyba, że krwi chciwi sportowcy nasi trzymają się zasady: *après moi le deluge...*

---

**Przed sądem.** Złapali Franka jak wynosił siutę z pańskiego lasu a ubił ją siekańcami z dragońskiego pistoletu. Dostał się pod klucz Prowadzą go przed pana adjunkta. Położył dziurawy kapelusz na ławie i stoi. Woźny czeka przy drzwiach.

Adjunkt: Jak się nazywasz gałganie?

Franek: (uśmiecha się) A dyć pan sędzia wiedzą...

Adjunkt: Milcz łajdaku i odpowiadaj na pytanie.

Franek (kłaniając się do nóg): No, dyć pan hadjunkt wiedzą, bo ja do pani hadjuncіny zawsze wiązki przywożę...

Adjunkt: A ty, drabie jeden...

Franek: O, o, to już mnie pon hadjunkt znają.

Adjunkt: Przyprowadzili cię tutaj, boś ukradł sarnę gałganie.

Franek: A dyć.

Adjunkt: Zastrzeliłeś ją tym oto pistoletem i wyniosłeś z lasu.

Franek: A ino.

Adjunkt: Tylko się nie wypieraj gałganie jakiś! Przyznaj się!

Franek: A dyć...

Adjunkt: Wypatroszyłeś sarnę szelmo, żeby ci było lżej dźwigać.

Franek: A ino...

Adjunkt: Znowu się chcesz wykręcać. Widział cię leśny i wołał na ciebie, aleś nie stanął.

Franek: A dyć...

Adjunkt: Poczekaj hyclu! Zaraz ja cię nauczę prawdę mówić, tylko ci dadzą kajdanki na łapy. Przytrzymał cię żandarm?

Franek: A ino.

Adjunkt: Poszedłeś do kozy i ma się z tobą spisać protokół.

Franek (kłaniając się do nóg): Pon sędzia pozwolom, z przeproseniem, cobym wysed na jednom chwilę, bo mi też z pseprosemem... (Bierze się rękami w okolicę pasa).

Adjunkt: Idź gałganie, a wracaj zaraz. Woźny! drzwi mu otworzyć, niech idzie na korytarz.

Franek wychodzi skulony, słychać szybkie kroki na kurytarzu, potem cicho. Adjunt wyciąga nogi w fotelu, kręci papierosa i oddycha po ciężkiej pracy.

Płynie minuta za minutą, upłynął już kwandrans. Woźny się niepokoi. Odważył się wreszcie przerwać sakramentalną ciszę urzędu.

Woźny: Proszę łaski pana sędziego, mnie się zdaje, że Franek nie wróci.

Adjunkt: Co pleciesz! Przecież kapelusz jego tu został.

W istocie kapelusz Franka leży.

Czekają dalej. Czekali jeszcze godzinę, ale Franek nie wrócił. Spisali więc protokół i złożyli kapelusz do aktów.



Sekretarz i Skarbnik gal Towarzystwa łowieckiego **Władysław Zontak** ulica Teatralna 18.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Juliusz Starkel** ulica Zyblikiewicza 5.



Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.